



# SFINKS

PAŹDZIERNIK 1913 NR 10

Cena zeszytu rb. 1 kop. 20 (3 korony).

Tom  
XXIV.  
Zeszyt  
70

SFINKS

Paź  
niernik  
1913

## TREŚĆ ZESZYTU X (70) ZA PAŹDZIERNIK.

Szanownych Prenumeratorów kwartalnych uprzejmie prosimy o odnowienie przedpłaty.

	Str.
Ku czci księcia Józefa Poniatowskiego . . . . .	3
WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI: Sto lat minęło . . . . .	8
A. M. SKAŁKOWSKI: Ostatnie służby . . . . .	14
J. GRZYMAŁA-GRABOWIECKI: Ogniwio tragiczne w życiu ks. Józefa	26
WŁ. B.: Książę Józef w poezji (Notatka) . . . . .	33
KANTORBERY TYMOWSKI: Elegja z powodu wprowadzenia zwłok	
ks. Józefa Poniatowskiego przez wojsko narodowe, wracające	
do ojczyzny . . . . .	34
JULJAN URSYN NIEMCEWICZ: Pogrzeb księcia Józefa Poniatow-	
skiego . . . . .	39
KAZIMIERZ BRODZIŃSKI: Na wprowadzenie zwłok ks. Józefa Po-	
niatowskiego z pod Lipska do Warszawy r. 1815 . . . . .	43
KORNEL UJEJSKI: Przy pomniku księcia Józefa Poniatowskiego	
w Lipsku . . . . .	42
ARTUR OPPMAN (OR-OT): Romans księcia Pepi, List księcia	
Józefa, Elstera, Elegja. . . . .	49
ZDZISŁAW DĘBICKI: W Jabłonie. . . . .	57
Pamiętki po ks. Józefie . . . . .	59
Konkurs poetycki „Sfinksa” . . . . .	62
KAROL KWIECIŃSKI: Plastyczne przedstawienie rozwoju dramatu	65
TADEUSZ MIŁOBĘDZKI: O podniesieniu naszej sztuki graficznej	83
WILA ZYNDRAM-KOŚCIAŁKOWSKA: Z beletrystyki włoskiej (c. d.)	89
Dr. WŁADYSŁAW KŁYSZEWSKI: Z Książek. . . . .	105
JULJUSZ WERTHEIM: O utworach Skriabina i kompozytorze K. Szy-	
manowskim . . . . .	115
ZOFJA RYGIER-NAŁKOWSKA: Węże i róże, powieść (c. d.)	117
A. ZABŁOCKI: Wrażenia muzyczne. . . . .	134
ST. PYROWICZ: Momenty polityczne . . . . .	138
NURTY (feljeton). (Na głodnych w Galicji, przez Henryka Sienkiewi-	
cza i Władysława Bukowińskiego. Solidarność i niezgoda na-	
rodowa. Karykatura samorządu, przez St. P. Ekscelencje, przez	
W. O. Frazesy i fakty, przez Per. Asp. Fale opozycyjne, przez	
T. G. Ohyda, przez Wł. B. Nowy teatr w Wilnie. Brutus	
i Cezar, przez Inka. Jatki kolejowe. . . . .	143
J. B-I: Wieczór Moliera w Teatrze Polskim	
Przeglądy i Sprawozdania. J. WORONIECKI: Kazimierz Marjan	
Morawski: „Z wieku Łazienek“	
Przegląd prasy.	
Książki nadesłane.	
Ogłoszenia.	

### DODATKI ARTYSTYCZNE.

Dwa portrety księcia Józefa Poniatowskiego.

Rysunki i winiety: M. BENTKOWSKIEGO, L. BIGOSIŃSKIEGO, ST. J. KOZŁOWSKIEGO, H. MINKIEWICZA, J. REMBOWSKIEGO, FR. SIEDLECKIEGO, M. WAWRZENIECKIEGO, J. WRONIECKIEGO i innych.

Na okładce: Pomnik księcia Józefa w Lipsku.

Papier z fabryki C. A. Moesa.

Klisze wykonano w zakładzie fotochemigraficznym Wierzbickiego i S-ki.

Czcionkami Drukarni Naukowej. Warszawa, Mazowiecka 8.

Zeszyt październikowy zawiera 11 arkuszy. Druk ukończono 31 października.

Do zeszytu niniejszego dołączamy dla wszystkich Prenumeratorów zeszyt „Przeglądu Bibliograficznego“ (za miesiąc październik).

441

Bibl. Publ. m.st. Biały

Wymiana



KSIĄŻNICA PODLASKA  
Górnickie  
Biuro  
Prasy  
Białystok

A circular purple ink stamp is located in the upper center of the page. The text within the stamp is arranged in a circular pattern: 'KSIĄŻNICA PODLASKA' at the top, 'Górnickie' and 'Biuro' on the left side, 'Prasy' at the bottom, and 'Białystok' on the right side. The stamp is partially overlaid by the text 'Bibl. Publ. m.st. Biały' and 'Wymiana'.



*Jan Nepomucen Pusztowski*

# SFINKS

CZASOPISMO LITERACKIE, ARTYSTYCZNE  
I NAUKOWE, WYDAWANE I REDAGOWANE  
PRZEZ WŁADYSŁAWA BUKOWIŃSKIEGO.

ROK VI. TOM XXIV.

WARSZAWA.

1913.

221132

Wydawnictwo Naukowe  
PWN  
Warszawa



### Ku czci księcia Józefa Poniatowskiego.

Komitet obchodu ku czci księcia Józefa Poniatowskiego z powodu przypadającej 19 października setnej rocznicy bohaterskiej Jego śmierci pod Lipskiem, — ogłosił odezwę następującą.

W roku bieżącym obchodzimy rocznicę pełną chwały, choć bolesną. W dniu 19 października upłynie lat sto, gdy pod Lipskiem w nurtach rzeki Elstery znalazł śmierć bohaterską ów rycerz bez skazy, ów wódz ukochany, który tylekroć razy wiódł hufce polskie do zwycięstwa, skoro zaś zwyciężyć już nie mógł, odszedł z tego świata, by przed Tronem Przedwiecznego złożyć powierzony mu skarb drogocenny. Skarbem tym zaś to była cześć narodowa: „Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu go oddam“. To były ostatnie słowa księcia Józefa Poniatowskiego, gdy, zasłaniając wojskiem swoim w bitwie pod Lipskiem odwrót armji francuskiej, już ranny wskoczył na koniu do wezbranej rzeki Elstery i żywy z niej więcej nie wypłynął.

Niewiele zaiste wskazaćby można w naszych dziejach porozbiorowych postaci, których pamięć byłaby taką opromieniona aureolą, jak postać Księcia Józefa Poniatowskiego. O jego czynach i poświęceniu dla sprawy Ojczyzny opowiadali nam ojcowie nasi, o jego zgonie śpiewały nam matki nasze. Żył dla Polski, zginął zaś ratując cześć jej i chwałę, zginął stwierdzając, iż był synem wielkiego i już odrodzonego narodu. I właśnie za ten zgon bohaterski jest pamięć Księcia Józefa każdemu sercu polskiemu taką drogą.

Niegodnymi więc własnej przeszłości okazalibyśmy się my dzisiaj żyjący Polacy, gdybyśmy w setną rocznicę dnia, w którym Książę Józef oddał życie za Ojczyznę, nie uczcili jego pamięci powszechno-narodowym obchodem. Taki obchód przygotowuje Kraków na dzień 19 października b. r. Komitet zaś, utworzony w dawnej stolicy Polski, gdzie w grobach królewskich na Wawelu spoczywają prochy uwielbianego wodza, zaprasza niniejszą odezwą wszystkich Ojczyznę miłujących Polaków do wzięcia udziału w tym obchodzie i wzywa równocześnie wszystkie narodowe polskie organizacje, aby przez wysłanie delegatów na uroczystość zaznaczyły zarówno łączność wszystkich stanów, warstw i odłamów naszego narodu, jak i żywość i niepożytość naszych polskich uczuć narodowych. Złączmy się wszyscy w dniu 19 października w wielkim pochodzie na Wawel, a krocząc w skupieniu ducha do grobu bohatera, odczujmy dawne



serca bicie i dawną wielkość duszy, przeżyjmy znowu choć chwilę jedną tak górnie, jak żyli dziadowie nasi, niosąc wszystko najdroższe w ofierze za zbawienie i honor Polski.

#### Prezydjum honorowe Komitetu:

Adam Hr. Gołuchowski, marszałek krajowy, Ks. biskup Adam Ks. Sapieha, Dr. Juljusz Leo, prezes „Koła Polskiego i prezydent miasta Krakowa, Józef Neumann, prezydent m. Lwowa, Antoni Osuchowski, Henryk Sienkiewicz, Dr. Bernard Chrzanowski, Ks. prałat Laubitz, Ks. biskup Paweł Rhode z Chicago, Kazimierz Żychliński, prezes Związku Narodowego w Ameryce.

#### Członkowie Komitetu:

Dr. Sz. Askenazy, Dr. Ant. Banaś, Ks. biskup Wł. Bandurski, Dr. Ern. Bandrowski, Kaz. Bartoszewicz, Dr. Rog. Battaglia, Dr. Józef Buzek, Dr. L. Caro, Tad. Cieński, „Chór Akademicki“ (Bol. Walewski), Prof. Ign. Chrzanowski, Ks. Adam Czartoryski, Ks. Witold Czartoryski, „Czas“, Marja Czerkawska, „Czytelnia Kobiet im. Słowackiego“ (Kolarzowska), „Czytelnia Polska w Czerniowcach“ (Dr. Kwiatkowski), Dr. B. Dembiński, Kl. Dębicki „Dziennik Polski“, „Eleusis“ (Sierczyński), Jan Kanty Federowicz, Dr. Ksawery Fierich, Hil. Filasiewicz, Michał Garapich, „Gazeta Narodowa“, „Gazeta Warszawska“, Wacław Gąsiorowski, Dr. Lud. German, „Głos Narodu“, „Głos nauczycielstwa ludowego“, Al. Godek, Dr. Mar. Goyski, Wiktor Gomulicki, Bar. Götz-Okocimski, Dr. Tad. Grabowski, Dr. Tad. Stan. Grabowski, Tom. Gramatyka, Wład. Grodyński, „Gwiazda“, Edward Hauswald, K. Hebenstreit, J. A. Herbaczewski, Dr. Wł. Horodyski, Stan. Jabłoński, Władysław Jahl, Dr. L. Janowski, Dr. St. Jasiński, Dr. W. L. Jaworski, Eug. Kalinowski, Dań. Kisiel, Klub rękodzielniczo-mieszczkański (Rakisz, Cekiera), Klub Słowiański, Bron. Knebloch, Dr. L. Kolankowski, Wit. Kolisko, „Koło Mieszczkańskie“ (P. Kosobudzki i Ant. Mirkiewicz),

Komisja „Drużyn Bartosz.“ T. Konczyński, Dr. F. Koneczny, Dr. F. Kopera, Dr. Józef Korzeniowski, Tad. Korzon, Dr. Włodz. Kozłowski, „Kraj. Związek naucz. lud.“ (St. Nowak), „Krakowianin“, „Krytyka“, Kaz. Krzyżanowski, Dr. Stan. Krzyżanowski, J. Kukucz, „Kurjer Codzienny ill.“ (Mar. Dąbrowski), „Kurjer Lwowski“, „Kurjer Warszawski“ (Konrad Olchowicz), Dr. Stan. Kutrzeba, Tad. Langie, Dr. K. Lewandowski, „Liga Pomocy Przemysłowej“ (K. Rolle), Dr. Kaz. Lubecki, Ks. And. Lubomirski, „Lutnia“ (Isakowicz), Dr. Stan. Łazarski, Dr. Jan Łoś, Michał Magiera, Wład. Magnuski, Dr. Bolesław Marchlewski, Franc. Maryewski, Józef Męciński, Stan. Michalski, Kar. Michejda, M. Mossoczowa, Wł. Mossoczy, Dr. K. M. Morawski, „Museion“, hr. Jerzy Mycielski, Ks. biskup Anatol Nowak, „Nowa Reforma“ (Wład. Prokesch), „Nowiny“, „Nowości illustrowane“, Fel. Nowotny, „Nowy Dzwonek“ (Ks. M. Dziurzyński), „Ognisko naucz.“ (J. Robak), „Ojczyzna“, Artur Oppman (Or-ot), Dr. Fryderyk Papée, Dr. Fr. Paszkowski, Tad. Pawlikowski, Czesław Odrowąż-Pieniążek, Dr. Tad. Pilat, Jan Podczaski, St. Podworski, „Polonia“, „Polski Związek Narodowy“ (Dr. M. Nartowski), „Polskie Tow. Emigracyjne“ (Okołowicz), „Polski Zw. Niewiat kat“, Hr. Józef Potocki, Dr. Stan. Poźniak, „Praca“, „Prawda“, (Ks. M. Kądzioła), „Przegląd“, „Przyjaźń“, Dr. J. Ptaśnik, Red. Puffke, Ks. Franc. Radziwiłł, Ad. Reaubourg, Hr. Mikołaj Rey, „Resursa Urzędnicza“, Dr. Karol Retmański, Wład. Rutkowski, Dr. Tad. Rutowski, Lucjan Rydel, Helena Rzepecka, Dr. Józef Sare, Franc. Serczyk, Dr. Mar. Seyda, Marja Siedlecka, Ks. arcybiskup Simon, Hr. Al. Skarbek, „Słowo Polskie“ (Zyg. Wasilewski), Dr. Stan. Smolka, Dr. Wacł. Sobieski, „Sokół“ (Dr. K. Ostrowski, St. Szaynowski, Wład. Turski), „Sokół“ podgórski (Żegota Bierczyński), Dr. Aug. Sokołowski, And. Średniawski, Konst. Srokowski, Ludwik Stasiak, J. Stapiński, „Stow. Nauczycielek“ (Pogonowska Barańska), Dr. M. Straszewski, Marja Straszewska, Jadw. Strokowa, Dr. S. Stroński, Ant. Stróżyński, „Strzelec“ (M. Trojanowski), „Świat“, Al. i M. Świdorskie, Dr. H. Szarski, „Sztuka“, Al. Szuro, Dr. M. Szykowski, Hr. Zdzisław Tamowski, Ks. arcybiskup Teodorowicz, Dr. Tad. Tertil, Włodz. Tetmajer, Dr. Wacł. Tokarz, Dr. Stan. Tomkowicz, Stan. Tondos, Fel. Tondosowa, „Tow. Miłośników m. Krakowa“ (Dr. Józ. Muczkowski), Tow. Muzyczne (Feliks Nowowiejski), „Tow. Numizmatyczne“ (M. Gumowski, Sew. Hniłko), „Tow. Naukowe w Toruniu“, „Tow. Oświaty Ludowej“, „Tow. Polaków w Budapeszcie“, „Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu“, „Tow. Przyj. Nauk w Przemyślu“ (Fr. Kuś, Kaz. Osiński), „Tow. Przyj. Sztuk Pięknych (L. Lepszy), „Tow. Rolnicze“ (Dr. Jul. Nowak, Dr. Józef Raczynski), T. S. L. (Wład. Grabowski, Dr. M. Stępowski, Tabaczyński), „Tow. Strzeleckie“, „Tow. Techniczne“ (Wł. Spannbauer), Tow. wzaj. pom.

uczest. powst. polsk. 1863/4, Dr. J. Tretiak, Ant. Trzetrzeviński, „Tygodnik  
Ilustrowany“ (Dr. J. Wolff)“, Dr. Józef Ujejski, Dr. Bol. Ulanowski, „Uni-  
wersytet Ludowy im. Mickiewicza“ (Dr. Wróblewska), Dr. Bol. Wicher-  
kiewicz, Dr. L. Wilczyński, Dr. St. Windakiewicz, Dr. Józef Wiśniowski  
Winc. Witos, Winc. Wodzinowski, Roman Woyczyński, Dr. Ign. Wróbel  
Jan Zamorski, Dr. Rom. Zawiliński, Dr. Marjan Zdziechowski, Edmund  
Zieleniewski, Dr. Fryderyk Zoll sen., Związek okr. T. S. L. w Krakowie  
(Dr. Józ. Lewicki, Dr. Kaz. Wierczak), Bolesław Żardecki.





## STO LAT MINEŁO.

„Bóg mi powierzył honor Polaków,  
Jemu samemu go oddam“.

Sto lat minęło... Sto lat upłynęło od chwili, gdy te wielkie i piękne, niezapomniane nigdy wyrazy, w których maluje się cała dusza ukochanego przez Naród księcia-bohatera, wyszły, według przekazywanej z pokolenia w pokolenie tradycji, z tych ust, które w kilka dni potem zawrzeć miała na zawsze, w straszliwej a tragicznej „walce ludów“ pod Lipskiem, pieczęć śmierci.

Sto lat minęło, sto lat bohaterskich wysiłków i klęsk strasznych, sto lat cichego cierpienia i wybuchów rozpacz, sto lat życia katakumbowego, sto lat,

w ciągu których ziszcza się jednak na szczęście młodzieńcza modlitwa autora „Barda Polskiego“:

„Boże! *nie daj w materji duszy spełznąć marnie,*  
Wybaw nas od nieczucia, a zostaw męczarnie“.

Zawodów i męczarni, gorzkich łez rozczarowania i rozpaczycy Los nam, zaiste, w ciągu tego stulecia nie szczędził. „Nie poznałiby Ojce naszych bolesnych twarzy, gdyby z grobowca wstali“ — mówił o pokoleniu swoim w r. 1845 Juliusz Słowacki. A przecież od owej chwili spadały na nas ciosy coraz straszniejsze, lała się krew polska na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej, przebyliśmy podsycone ręką wrażą bratobójcze mordy galicyjskie roku 1846, zawody i klęski w Galicji i Poznańskiem roku 1848, okrutny upust krwi r. 1863 i straszne lata hurkowsko-apuchtinowskiej reakcji, która po nim nastąpiła.

Przeżyliśmy okres świeżej burzy rewolucyjnej, która nic nam prócz nowego krwi upustu i nowych zawodów nie dała; przeżyliśmy Wrześnię i Chełmszczyznę, zakazy językowe, komisję kolonizacyjną i wywłaszczenia w Poznańskiem, a rzucając wzrokiem raz jeszcze na ten okres stuletni, który od śmierci księcia-bohatera w mętnych nurtach Elstery upłynął, nie bez pewnej dumy powiedzieć o sobie możemy:

„Wspomnij, cośmy cierpieli pod chłostą tych mocarzy,  
A duchaśmy nie dali“...

Nie daliśmy ducha, pomimo zamachów wszelkich, jakie na niego przez stulecie ubiegłe czyniono i jakich i w ciągu pierwszego trzynastolecia wieku XX-go—ku pohańbieniu cywilizacji—czynić nie przedstawano. Zostaliśmy sobą mimo wszystko, wyzuci z praw politycznych, z obszarów ziemi naszych ojców i dziadów, pozbawieni na znacznej przestrzeni dawnej Rzeczypospolitej, ba na znacznym nawet obszarze Polski etnograficznej, Polski Piastowej, Polski Bolesławów i Kazimierza Wielkiego, nietylko własnych szkół i instytucji państwowych, ale wprost elementarnego prawa, przysługującego nawet ludom dzikim, prawa porozumiewania się między sobą w języku cjęzystym, chociaż jest to język Reja i Górnickiego, Kochanowskiego i Skargi, Potockiego i Kochowskiego, Krasickiego i Niemcewicza, język Mickiewicza, Słowackiego, Krasieńskiego, język Ujejskiego, Żmichowskiej, Asnyka, Konopnickiej, język Kraszewskiego, Jeża, Kaczkowskiego, Orzeszkowej, Sienkiewicza, Świętochowskiego, Prusa, Żeromskiego, Sieroszewskiego, Reymonta, język Kasprowicza i Tetmajera, Daniłowskiego i Wyspiańskiego...

Jest to zarazem język, w którym nie pisał wprawdzie, ale czuł i myślał już w XV i XVI wieku Kopernik, w którym Jędrzej Śniadecki ogłosił swoją „Teorię jestestw organicznych“; jest to język Lelewela i Szajnochy, Kremera, Libelta, Hoene-Wrońskiego, Cieszkowskiego, Trentowskiego... Dziś w tym języku nie wolno nam przemawiać w Poznaniu i Gnieźnie, nie wolno nauczać w założonym przez króla polskier-

go Alexandra uniwersytecie warszawskim, a w przyszłym samorządzie na całym obszarze uszczuplonego przez oderwanie Chełmszczyzny Królestwa Polskiego— z tego języka przemówienia radców, omawiających sprawy szpitalne lub szkolne, sprawy oświecenia lub kanalizacji, tłumaczone być mają na bardziej kulturalny i zrozumialszy zapewne dla mieszkańców Priwiślinja — język państwowy...

A jednak mimo to wszystko żyjemy i—da Bóg— długo jeszcze i owocnie żyć będziemy. Duch nasz chwiejny bywa czasem w jednostkach znikczemniałych, ale w narodzie całym pozostał niezachwianym i nieugiętym. W obronie tego ducha i tego języka walczył książę Józef pod Połonnem i Zieleńcami, na szanłach Warszawy i na polach Raszyna, a gdy po świetnej kampanji r. 1809 zajął wreszcie Kraków stołeczny, jednym z pierwszych jego czynów, jak to przypomniał świeżo rektor Wszechnicy Jagiellońskiej Kostanecki w swem świetnym przemówieniu, wygłoszonym 19 b. m. z podwojów Katedry do tłumów, zgromadzonych na podwórzu wawelskim, było właśnie przywrócenie tego języka w założonym przez Kazimierza Wielkiego w wieku XIV, a odnowionym przez Jadwigę i Jagiełłę w r. 1400 uniwersytecie krakowskim.

O wolność i całość narodu walczył książę Józef w r. 1812, o honor już tylko — w r. 1813, a walką tą i śmiercią bohaterską honor ten niewątpliwie ocalił. Oparł się nawet rozsądnym radom „zrównoważonych“ polityków polskich, którzy nie rozumieli, jak to się

zdarza niekiedy i obecnym politykom naszym, że ocalenie honoru narodowego, że ocalenie sztandaru, bywa często stokroć donioślejsze od wygranej bitwy lub chwilowych korzyści doraźnych.

Sto lat minęło od śmierci bohatera z pod Lipska. Zapomniane nieco imię jego przypomniało się znowu rodakom. Zasługi jego ocenił już prof. Askenazy w swej pięknej książce, wydanej świeżo po raz trzeci; omówił je również obszernie, kładąc większy nacisk na jego czyny wojenne, w wydanem świeżo dziele prof. Adam Skalkowski, z którego książki o księciu Józefie, nieznaney jeszcze w Warszawie, przytaczamy dziś rozdział końcowy.

Zasługi księcia Józefa przypomniał świeżo całej Polsce dwudniowy obchód krakowski, a chociaż Warszawa i Królestwo nie mogły wziąć w nim należytego udziału, a codzienna prasa warszawska nie raczyła nawet wysłać na tę uroczystość narodową delegatów osobnych, poprzestając na fabrykowanych na miejscu przedrukach z niezawsze ścisłych i dokładnych w swych opisach dzienników krakowskich, hołd pamięci bohatera wypadł wspaniale i podniosłe, a uroczyste dźwięki Zygmunta, które rozległy się na Wawelu, w setną rocznicę chwili, gdy ranny już kilkakrotnie książę Józef rzucał się w fale Elstery, odbiły się echem potężnem w sercach tysięcy i tysięcy.

Zanim w pracy obszerniejszej dane nam będzie omówić szerzej zasługi ostatniego rycerza daw-



nej Polski w oświetleniu badań najnowszych, do objawów hołdu, który pamięci jego złożyła Polska cała, dorzucamy ten zeszyt „Sfinksa“, prosząc czytelników o wyrozumiałość, bo nie wszystko, niestety, pisać i mówić nam wolno, coby powiedzieć i napisać należało...

WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI.



A. M. SKAŁKOWSKI.

## OSTATNIE SŁUŻBY.

(Z tylko co wydanej książki o Księciu Józefie).

Przebywszy walki oporne i krwawe,  
Wnosicie skromni w zagrody ojczyście  
Nie łupy drogie, lecz drogą sławę,  
I wraz z nią sumienie czyste.

Wyście na bratniej i na obcej ziemi,  
O, nader rzadki czynów naszych cudzie,  
Mówili sobie usty zgodnemi:  
Tu nasi bracia, tam ludzie.

Cześć tobie, wodzu, któryś w polskie roty  
Wpajał głęboko swym przykładem wszędzie  
Ludzkość i skromność, rycerskie cnoty,  
Które świat cały czcic będzie.

Zarówno wszędzie, jak przy Matki grobie,  
Z uszanowaniem potomek daleki,  
Rycerze! o was — Wodzu! o Tobie  
Wspominać będzie na wieki.

Tak witała Warszawa łzami przepojonemi słowy powracającego wodza i wojsko. Tak też rozumiał książę, że dochowanie, pomnożenie czci narodu jest jego najpierwszym obowiązkiem. I gdy inni mężowie stanu, Matuszewicz i Mostowski, szukali sposobów zabezpieczenia bytu politycznego kraju zgoła próż-

nych, tak krętych i ślizkich, że łącznie mogły być mianowane zdradą i głęboko zmącić sumienie narodu, on na radzie ministrów jasną i prostą wytknął drogę: „Przybywszy tu stosownie do wyższych rozkazów, jako dowódca korpusu piątego, z wojska narodowego składającego się, sędzę być moim obowiązkiem donieść Radzie równie smutną, jak nietajną powszechnie wiadomość, że korpus rzeczony, walecznością swą i miłością ojczyzny mierząc wszystkie tej tak krwawej kampanji nadarzające się trudy, niewygody i niedostatek, skutkiem poświęcenia się swojego i opierania z odwagą natarczywości nieprzyjaciela, zupełnie prawie zniszczony został w ludziach, koniach, zaprzęgach, tak dalece, że mała liczba pozostałych, powracając z orłami i artylerją, w zupełnej swojej całości utrzymana, nie przynoszą z sobą, jak tylko honor, rękojmię dalszych swych poświęceń i tę drogą pociechę, że wszystko uczynili i uczynią, co po nich miłość ojczyzny i króla wymagają“. Natychmiast też postanowione powołanie szlachty na koń i zarządzone pobór z każdych 50 dymów jeźdźca, a z 20 pieszego rekruta. Powiadamiał o tem marszałków pospolitego ruszenia w samą wigilję Bożego Narodzenia listem okólnym: „Konfederacja jeneralna Królestwa Polskiego na posiedzeniu Rady swojej jeneralnej dnia 20 miesiąca i roku terażniejszych odbytem, uchwalwszy w walnej potrzebie swojej ojczyzny pospolite ruszenie dla obrony granic kraju od napadu nieprzyjacielskiego i was, jako z cnót obywatelskich i przy-

wiązania do niej dobrze sobie znanych i zaufanych, mianowawszy tegoż pospolitego ruszenia po departamentach marszałkami, raczyła na moją chlubę i szczyt powołać mię na regimentarza jeneralnego, oddając mi w najwyższe dowództwo rycerstwo polskie i przydając w pomoc temu dowództwu księcia Eustachego Sanguszkę, obywatela i żołnierza dawniej w poprzednich o byt ojczyzny rozprawach dzielnie zasłużonego, a mego niegdyś trudów wojennych towarzysza.—Gdzie idzie o ratunek ojczyzny, dobyte oręża powinno namysł wyprzedzać, rozważać i radzić należy do ojców ojczyzny i przełożonych kraju; nam w udziale pozostało tylko posłuszeństwo. Nie oglądając się więc na moje siły i sposoby, ani na moją w miarę ogromnej powinności nieudolność, powodowany jedynie smutnemi okolicznościami, w których się ojczyzna zagrożona zewsząd w tej właśnie chwili znajduje, przyjąłem z ochotą trudne obowiązki, do których mię wezwała, i ofiarowane mi dowództwo nad pospolitem ruszeniem obejmuję“. Wyznaczał „za epokę rozpoczęcia zaciągu tegoż pospolitego ruszenia dzień 10 blisko następującego miesiąca i roku“ i szczegółowe podawał przepisy organizowania chorągwi. Niewiele jednak liczył na ten środek, jakoż i zawieść miał on w zupełności. Zaledwie 400 stawiło się jeźdźców.—Natomiast owocna była praca nad wskrzeszeniem regularnej siły zbrojnej ze szczętów ocalałych z pogromu. Wiedział książę, ile pod względem zewnętrznym temu nowemu wojsku będzie niedostawać,

ale spodziewał się natchnąć je duchem dawniejszemu podobnym. W odezwie „do wojska narodowego“ rodakom, wróconym z śnieżystych stepów Rosji, niósł „najchlubniejszą, jedyną, polskich rycerzy jedynie godną nagrodę: głos wdzięcznej Ojczyzny za zapewnioną na zawsze krwią waszą imienia Polaków sławę“. „Otworzy się jeszcze — upewniał — męstwu waszemu pożądana do nabycia w boju nowych zasług pora. Lecz nieprzyjazne losów Ojczyzny koleje zwycięskimi Wam uwieńczyć się pozwolą wawrzynami, cieszcie się, że duch was ożywiający jest duchem całego Narodu. Wkrótce bracia wasi, powołani do świętego stawienia się na obronę ziemi polskiej obowiązku, ubiegać się będą o zaszczyt dzielenia z wami wojennych trudów i zasłonięcia wzrastających na nowo waszych związek. Wkrótce nowych wojowników hufce, obok waszych umieszczone szeregów, ochoczo w wasze wstępując ślady, dowiodą: że nie powierzchowność ani jednostajność, lecz święta miłość Ojczyzny i odziedziczona od przodków waleczność zrównały polskiego żołnierza z niezwyciężonemi pierwszym w świecie wojska rotami. Będziecie pewnie umieli cenić tak szanownych braci waszych i współobywateli zapał, a wspierając doświadczeniem waszem pierwsze ich w polu sławy kroki, raz jeszcze okażecie światu: że Polak jak dla Ojczyzny się rodzi, tak zawsze dla niej gotów jest umierać“.

Do garstki zrazu przemawiał. 28-go grudnia z całego korpusu piątego ściągnęło do stolicy 40 ofice-

rów sztabu głównego, 120 stopni niższych i 220 żołnierzy, z których wielu rannych i z odmarzłymi członkami. Przedstawiali oni 10 pułków piechoty, 5 jazdy i 2 artylerji. Lecz oczywiście ocalało nierównie więcej. Tylko leczyli się po wsiach pogranicznych i w miastach, gdzie się znajdowały ich zakłady pułkowe i szpitale, i z każdym dniem ściągało do kraju jeszcze wielu zbiegłych z niewoli i całe oddziały nowej formacji, w boju nawet nie użyte. Według wykazu z 1-go stycznia 1813 r., w jedenastu pułkach piechoty Księstwa z ogólnej liczby siedemnastu (czyli bez dywizji gdańskiej i dawniejszej hiszpańskiej) było pod bronią 306 oficerów i 7538 żołnierzy, a w szpitalach 6 ze starszozny i 810 szeregowych, w piętnastu pułkach jazdy z szesnastu (czyli z wyłączeniem 9-go) 255 oficerów i 5513 żołnierzy z 4654 końmi, w szpitalach 5 oficerów i 224 szeregowców, w artylerji i oddziałach technicznych 98 oficerów i 755 żołnierzy z 464 końmi, chorych 28. A że w Zamościu z zakładu pułku 13-go, gwardji narodowych, artylerji pieszej i bataljonu taborowego zebrało się oficerów 100 i żołnierzy 2617, zaś w szpitalach tamtejszych 719 chorych, więc razem naliczono 18,974 głów i 5598 koni, z których pod bronią 759 oficerów i 16,423 żołnierzy. Pułki piesze wykazywały od 300 do 800 bagnetów, tylko 13 miał z górą 2300 pod bronią jezdne od 80 do 700 szabel i więcej. Pobór dostarczył wkrótce 2000 piechoty i 2500 kawalerji, o którą cesarz dopominał się najbardziej, aby uzupełnić jej

niedostatek w formowanem na nowo we Francji Wielkiem Wojsku. Dlatego Rozniecki został szefem sztabu.

Ta praca organizacyjna została wkrótce zahamowana na skutek zdradzieckiego ustąpienia korpusu austriackiego Schwarzenberga przed rosyjską strażą przednią. Z początkiem stycznia część Księstwa na prawym brzegu Wisły była w ręku Rosjan, a w pierwszych dniach lutego wypadło już i stolicę opuścić. Nikomu z armji nie pozwolił wódz polski tam pozostać, jak tylko chorym i weteranom z ich komendantem Bogusławskim. 3-go lutego zalecał temu pułkownikowi, „żeby podkomendnych swoich używał, ile ich rany i zdrowie pozwala, do usług i straży szpitalów wojskowych“. W dwa dni potem i sam opuścił Warszawę. 7-go był w Piotrkowie, 13-go w Ruscu, 17-go w Częstochowie, 21-go w Pilicy, od 22-go w Krzeszowicach, z początkiem marca w Krakowie. Tam przez dwa miesiące w najtrudniejszych warunkach pracował nad pomnożeniem wojska, uszczupłego przez cofnięcie znacznej części na Kalisz, nad którą komendę objął potem Dąbrowski, i przez potrzebę zaopatrzenia w załogę warowni modlińskiej, zamojskiej, toruńskiej i częstochowskiej.—Wystawiony był w tym okresie na próby najcięższe. Wciąż pozostawał pod obuchem niebezpieczeństwa zagłady na skutek dobicia targu między Austrią a Rosją w ich układach, przygotowujących powszechną przeciw Francji koalicję. Cesarz zostawiał go bez rozkazów i po-

mocy, nie wiedząc jak się obróca koleje nowej wojny. Król dla ocalenia Saksonji skłaniał się poświęcić Księstwo. Opuszczony był także przez rodaków. Ludzie, których rozum i patryjotyzm albo przyjaźń nauczył się cenić, jak księżę Adam Czartoryski, jak Antoni Radziwiłł, nakłaniali go najusilniej, aby dla bytu państwowego tej części ojczyzny szukał porozumienia z cesarzem Aleksandrem i Prusami. Kiedy z początkiem maja Austria na żądanie Rosji usuwała kordon ochronny od strony Krakowa, aby zmusić Poniatowskiego do ustąpienia z ostatniego skrawka ziemi polskiej, nawet jego towarzysze z rządu Księstwa przeciwni byli postanowieniu wymarszu przez Czechy dla złączenia się z armją Napoleona. Mówili mu, że czego innego wymaga godność żołnierza, a czego innego przyszłość kraju. On odpowiadał: Nie chcę ojczyzny bez honoru. Ale się wahał i zmagał z sobą: czy wolno mu tak postąpić. Linowskiemu, gdy przyszedł rankiem dnia wymarszu namawiać go do pozostania, rzekł, wskazując na broń nabita: „Widzisz te pistolety? Dziś je w nocy dwa razy miałem w rękę, chciałem w łeb sobie strzelić, aby wyjść z tak trudnego położenia, ale nakoniec wziąłem determinację: nie odstąpię Napoleona”.— A nawet na wdzięczność cesarza nie mógł liczyć, bo odbierał rozkazy, aby nawrócił do Księstwa i rozpoczął partyzantkę na tyłach koalicji rosyjsko-pruskiej, i nie pozwolono mu w przejściu przez Czechy składać broni, czego żądała Austria, jako nieodzownego warunku przepuszczenia przez



swoje kraje koronne. — Rozumiał wszystkie niebezpieczeństwa tego przechodu w rozdzielonych kolumnach, z bronią na wozach, gdy żołnierz świeżo zaciągnięty, nieodziany i niepłatny wystawiony był na pokusy zbiegowstwa i może na zdradziecki napad. I zdawał sobie sprawę, jaką groźbą straszliwą było dla naszej przyszłości rzucenie kraju. Ale zarazem uświadamiał sobie, że ruszyć przeciw przeważnym siłom Rosjan i Prusaków bez broni i amunicji, to się równało zatracie wojska, a wszak w niem wcielona była przyszłość narodu, cała możność dobijania się niepodległego bytu. Zaś nie wolno było ocalać go przez pakty z wrogiem. Bo przez taki akt wiarolomstwa nazajutrz po „drugiej wojnie polskiej“ zniweczony zostałby wszystek krwi tego pokolenia wysiłek. Zresztą i to było jasnym, że zachwianie zasad honoru i wierności śmiertelnym ciosem ugodziłoby także w samo istnienie młodego wojska. Że zaś nie tyle ku zwycięstwu szedł, ile ku śmierci, to czuł dobrze. To mu mówiła nawet pieśń pożegnalna na wyjście jego z Krakowa: „Z gruzów Troi unosząc świętości domowe — Idziesz umrzeć...“ Tylko że w tej śmierci najwyższa tkwiła mądrość.

Po drodze, w Szydzinis 10-go maja odebrał wiadomość o zwycięstwie cesarza pod Lützen, a zarazem rozkaz podjęcia akcji zaczepnej wobec Rosji wspólnie z Austryjakami. Przerwał marsz, aby doczekać się odpowiedzi dowódcy austriackiego Frimonta, która jednak oczywiście była odmowna. Ruszył więc da-

lej przez Kęty, Cieszyn i Austerlitz, gdzie święcono pamiątkę wielkiego zwycięstwa. Wojsko wzięło broń z wozów i lepszą ożywiło się nadzieją. W nowej organizacji Wielkiej armji było ono korpusem ósmym, liczyło wtedy z końcem maja pod bronią 977 oficerów i 12,860 żołnierzy, z tego połowę w jeździe. Dalej jechał książe przez Berno i Kolin. Wstępował do Pragi. W połowie czerwca przybył do Zitta na ziemi saskiej. Tam w ciągu lipca przeprowadzona została nowa formacja korpusu, jego wódz porównany w godności z marszałkami państwa francuskiego.

W odnowionej wojnie, za przystąpieniem Austrii do koalicji, korpus polski walczył od strony Czech z męstwem i sławą, która najsilniejszem błyszczyć miała światłem w ostatniej jeszcze godzinie jego bytu. W starciach około Lipska i samej „bitwie narodów“ nie miało zbraknąć broni naszej i imię polskie rozbrzmiewało głośno i daleko. W tych dniach książe Józef ranny wielokrotnie, marszałkowską obdarzony buławą, pamiętał tylko, by spełnić wielki obowiązek przedstawiciela odradzającej się Polski. Dlatego Jego śmierć miała być źródłem nowego życia dla narodu podniesionego w oczach całego świata.

W pierwszym dniu rozprawy, 16-go października, miał Napoleon jeszcze nadzieję, że zgniecie armję Schwarzenberga. Polacy pod wodzą Poniatowskiego walczyli od strony Dölitz. Książe już 14-go października „raniony dzidą od kozaka w prawą rękę ponad dużym palcem“ był wtedy „również w prawą

rękę między dłonią i łokciem postrzelony". Stanowiska zostały utrzymane, ale pół korpusu poległo albo odniosło rany. Wobec przemocy uderzających stąd Austryjaków, Rosjan i Prusaków u schyłku dnia musiała pośpieszyć z pomocą dywizja młodej gwardji. A podobnie i gdzieindziej przewaga broni Wielkiego Wojska krwawo okupiona nie była dość stanowczą. Tymczasem doszła wiadomość o odpadnięciu Bawarii, która zagradzała drogę do Francji, a od północy na linię odwrotu zaczęła naciskać armja Blüchera. Rozumiał cesarz Francuzów konieczność cofnięcia się za Ren i jeśli nie ustąpił zaraz, to jedynie, aby przez nową bitwę zmusić armje koalicyjne do uszanowania jego odwrotu. Jakoż 18-go października, mimo zdrady Sasów i Wirtemberczyków, nie dał się przełamać trzykroć liczniejszym przeciwnikom. Książę Józef w tym dniu prowadzi ataki na Probstheide z tą piękną odwagą, która i w każdym szlachetniejszym sercu wroga znaczy się drgnieniem podziwu i współczucia. Ale też i wyczerpana została siła moralna Wielkiego Wojska. Odwrot długi na blisko 3 kilometry groblą poprzez odnogi i bagna Plejsy i Elstery, zmienia się w bezład i klęskę. Pochód upodabnia się do „prawdziwego konduktu pogrzebowego“.

Z przebiegu bitwy wynikło, że Polacy korpusu ósmego tworzą straż tylną i mają bronić miasta od strony drogi, wiodącej do Berna, części przedmieść południowych. Lipsk był podówczas tylko z imienia warownią, waliły się jego baszty, osypywały mury,

na miejscu rowów piękne, lipowe wyrosły aleje. Tędy też, okrążając mury, bulwarami zamiejskimi zdążyły oddziały Wielkiego Wojska ku bramie północno-zachodniej. Tu odrazu powstał ścisk wozów różnych zbiegających się kolumn. Przejście stało się niezmiernie trudne. Zaś prawie niepodobnym było, aby zdążyć mogły pułki, wysunięte na odległe przedmieścia. Ich obrona od początku jest bezładną. Wojska wchodzą na nowe stanowiska późno wśród gęstej mgły poranku jesiennego. Rychłe zamieszanie pomnoży zdrady. Strzelcy badeńscy wydają Rosjanom bramy, powierzone ich straży i morderczy wszczynają ogień na wczoraj jeszcze sprzymierzone szeregi. Dopełnia klęski wysadzenie mostów u wstępu do grobli. W tej walce dwutysięczne siły polskie z każdą chwilą beznadziejniejszy stawiają opór. Ich wódz już się nie stara natchnąć odwagą zwycięstwa, ale męstwem śmierci. Prawą rękę ma bezwładną, jest blady i wyczerpany, ale sam staje na czele bataljonów i odpiera zewsząd przedzierające się kolumny nieprzyjacielskie. Było już blisko południa, gdy kula karabinowa przeszła mu lewą pierś u góry między obojczykiem a łopatką. Tracił dużo krwi, lecz gdy go prosi Bronikowski, aby zdał komendę, a szukał ocalenia za Plejsą, odpowiada przytomnie: „Chcę zginąć śmiercią walczących“. Wtedy także miał wyrzec te słowa: „Bóg mi powierzył honor Polaków, Jemu samemu go oddam“.

Aby zapobiec przygnębieniu, wsiadł znowu na konia i z orszakiem plutonu kirasjerów i krakusów uderzył po raz ostatni, aby dać czas cofnąć się piechocie. Gdy jednak w niej już nie miał oparcia, sam musiał ustępować, aby ujść niewoli. Jechał więc ku ogrodowi nadrzecznemu. Powodował jeszcze koniem na grzązkim gruncie wśród huku strzałów zewsząd przedzierających się żołnierzy różnych narodowości. Przebył Plejsę. Było zapewne kilka minut po dwunastej, gdy nową odebrał ranę: kula przeszła między żebra. Z krwią uchodziły zeń siły. Na siodle utrzymywali go adjutanci Kicki i Szydłowski. Ogarniała go widocznie gorączka, bo tracił przytomność. Chwilami przecież wracała mu świadomość. Pożegnał spojrzeniem Szydłowskiego, gdy zwałił się od kuli. Kicki, Blé-champs i kilku jeszcze oficerów przeprowadziło go przez błotnisty przekop, gdzie konia miał porzucić. Szedł pieszo ku Elsterze, choć się ślaniał. Podano konia. Zdołał jeszcze go dosiąść. Jechał wzdłuż rzeki wezbranej i rwącej, w której korycie piętrzyły się trupy ludzi i zwierząt, szczęty budynków i sprzętów wojennych. Krążyły gromady obłąkanych z przerażenia żołnierzy. Broniła się piechota i kirasjerzy, ale już zbiegały się tłumy wojsk sprzymierzonych, by przeszkodzić przeprowie. Wtedy ranny był Kicki. Naraz i księżę dojrzał o kilka kroków nieprzyjacielskie bagnety. Więc ostatnim wysiłkiem świadomej woli zmusił konia do skoku z wysokiego podmurowania w nurt głęboki i bystry. Odrazu pokryła go fala.



J. GRZYMAŁA-GRABOWIECKI.

### OGNIWO TRAGICZNE W ŻYCIU KS. JÓZEFA.

Książę Józef Poniatowski to postać jedna z najtragiczniejszych, jakie zna historia—nie tylko Polski—świata całego. Życie jego było jednym pasmem tragicznym—było tragedją. Od urodzenia z imieniem, które było także imieniem jego stryja—a miało mu się stać przeto klątwą i niesławą—do bohaterskiej—mało w tem słowie treści—śmierci marszałka Francji na obczyźnie, gdy Polsce brakło dzieci,—od kolebki do grobu—poprzez całe życie, Książę Józef wziął w piersi tragedję umiłowanej ojczyzny. Żył, jak ona—burzą, odmętym, zawieruchą; jak ona, umierał, gdy prawu życia moc odebrano, lecz śmiercią swoją nową jej stworzył bytowanie. Gdy przeszłości istnieć już nie było wolno, ocalił ile można było dla przyszłości. Cesarz Aleksander patrzył na śmierć najlepszego syna Polski. Podziw go zdjął i cześć—widmo nadludzkie olbrzyma-bohatera zrodziło królestwo kongresowe. Książę Józef do przeszłości narodu utraconej nawiązał ogniwo, z którego jesteśmy i z którego cała nasza przyszłość; a na drogę dał nam płomień znicza, nad życia cud piękniejszy—płomień ocalonego z burz, potopów i wichrów honoru polskiego. Więc dlatego jest taki nasz, dlatego taki blizki naszemu sercu.

Los uczynił Józefa Poniatowskiego księżciem nie-szczęść, krzywd i tragedji. Rycerz bez zmazy, żołnierz, jak łaza czysty, który jeden miał tylko honor, jeden znał cel i jedną ku niemu drogę—pomyślmy tylko—był siostrzeńcem Stanisława Poniatowskiego; był wodzem ostatniego wojska, wiernego Rzeczypospolitej, wodzem, któremu po pierwszym szczęśliwym starciu pod Zieleńcami, gdzie dotrzymał pola dwakroć liczniejszemu wrogowi — kazano łączyć się z Targowicą!

Ukochany Szef Gwardji, któremu żołnierze na pamiętkę rozstania w Kozieńcach medal bić postanawiają z napisem: miles imperatori, nieomal wypędzony przez swego najjaśniejszego stryja, któremu płatał wszystkie arkana polityki, w Wiedniu otrzymuje wieści, że wszechwładna Targowica łamać każe stempel medalu ręką kanta! Ów krzyżyk virtuti militari pod Zieleńcami zdobyty, który z taką dumą nosił na piersiach,—słyszy—przez Targowiczan jest hańbą okryty!

Coraz cięższe kolizje, coraz jaśniejsze niedomówienia; nawet w Wiedniu mieć go nie pragną. Opuszcza więc rodzinne miasto i jedzie w podróż po Europie, zwiedza zamki, grody, piękne okolice—podróżuje ów wojażer polski, a tam Ojczyzna ginie!

Jakaż straszliwsza tragedia—pomyślmy tylko—nad te płomienne uściski pani de Vauban, nad te pocałunki, którymi pragnie zgłuszyć rozum i serce—w burzy zmysłów żądę czynu zatopić.

Insurrekcja. Wraca w przebraniu tam, gdzie jego miejsce—w szeregi. Ale jest Poniatowskim—intruzem. Onby pragnął—nie zginąć za Ojczyznę—cóż? śmierć swą daje wielu, cóż nad śmierć za Ojczyznę łatwiejszego?—on pragnie oddać życie. A rodacy mają dlań lżywą nieufność i krzywdzące podejrzenia.

Wreszcie ginie—i kimże jest? marszałkiem Francji—ten najprzywiązany syn polskiej ziemi.

Pragnę podkreślić pewien moment tej tragedji, której wszystko jedno jak na imię—finis Poloniae, czy Książę Józef—pogłębić przytoczeniem słów, które przed wiekiem spełna wypowiadali jej bohaterowie.

Młody generał-major wojsk polskich miał tworzyć armję — brakło wszystkiego — rwały się zbyt krótkie nici. Niechże kraj wejrzy w braki, niechże sejm poweźmie zaradcze uchwały, niech wyśle lustratora—niech wiel Książę Józef błagał. Przeczuwał jednak i uprzedzał skrupuły kochającego stryja. „Wybór osoby jest absolutnie obojętny, ale rzecz sama wydaje się bezwarunkowo konieczną i wszyscy tego pragniemy gorąco“ — pisał do Stanisława Augusta. Przecież tu nie o niego chodziło; niech mu wytkną braki, a niech dadzą środki! Król był innego zdania—chodziło mu przedewszystkiem o osobę drogiego siostrzeńca. „W ten sposób się urządzi, aby Sejm posłał do Obozu kogoś takiego, który mógłby dobrem służyć świadectwem“. Wysłano zatem „kogoś takiego“, który taką oto zdał Sejmowi relację: \*)

„Doniesienie o obozie pod Braclawiem. Wojsko Polskie obozujące leży w dwóch liniach paralelnych mając przed sobą spadzistość ku rzece Boh, czołem do teyże Rzeki dotykając, prawym skrzydłem miasteczko Braclaw, lewym wieś Monaster y lasek nad nią położony. W pierwszey linii obozuie Piechota y Park Artylleryi to jest 14 Batalionów piechoty, 5 kompanii Artylleryi z Parkiem teyże w środku. W drugiej 24 Szwadronow kawaleryi. Za oddziałem zaś małej doliny 16 Szwadronow kawaleryi Letkiej pra-

---

\*) Ze zbiorów prywatnych prof. J. Michalskiego z Warszawy. Odpis z rękopisu.



wym skrzydłem dotykając Braclaw. Przed frontem obozu na rzece Boh rzucony iest most z Pontonow, który Xiaze kommenderujący własnym kosztem na wzór uzywanych w Woysku Rossyiskim sporzadzic wskazał. Pontonow iest 15. — 16 zapasowy — które zajmują szerokość Łokci 100. Gorliwość Xcia kommenderującego wskazuje kommissyi woyskowej przyięcie kosztu rzeczonych Pontonow, blisko złt. 600 wynoszącego, pomnozenie ich liczby w Dywizyi Ukraińskiej dla instrukcyi y potrzeby; doświadczenie uzywania onychże w Woysku Rossyiskim na naywiększych Rzekach y przeyscie przezeń całego Woyska Obozującego bez naymniejszego uszkodzenia są dowodem ich dobroci. Magazyn mąk, owsa y siana znajduje się na prawym skrzydle Obozu w Braclawiu. Żołnierza obozującego żywność złt. 8, a konia złt. 14 na miesiąc tylko kosztuje. Mąki y furazę w dobrych są gatunkach. Pieców Obozowych piekarnianych 4, które 4 do pięciu razy na dzień odchodzą, dostarczają chleb smakowity na całe Woysko po 2 funty na dzień — funt grosz 1. Fassynowanie furazów w pięć dni dzieie się w powinnym porządku y regularności. Lazaretu niema Generalnego tak dla niedostatku mieysca iako też podług zdania Xcia większey łatwości dozoru chorych w udzielnych Lazaretach, które każdy korpus w przyległych miejscach y wioskach uformował. Prócz chorych, których korpusy z sobą przyprowadziły, nietylko chorych nie przybyło, ale wielu ozdrowiało, żaden nieumarł.

Kommenda Piechoty w Obozie podzielona na trzy Brygady. Pierwszą kommenderuje Pouppart gm. złożoną z 4 Batalionów. Drugą kommenderuje Kościuszko gm. złożoną z 4 Batalionów. Trzecią kommenderuje Czapski gm. złożoną z 3 Batalionów. Kawa-

leryi narodowej 24 Szwadronami kommanderuię Wielohurski (rec. Wielhorski), Brygadyer kawaleryi Letkiew. 10 Szwadronami dwa pułki formuiącemi kommanderował Mokranowski (rec. Mokronowski), Vice-Brygadyer. Po nim Karwicki Szeff. Artylleryą z pięciu kompanii złożoną 4 Parkiem teyże kommanderował Kościuszko gm. pod nim Napiorkowski Maior Artyll. Park Artylleryi co do Armat, Lawetow, Wozow w zupełnym iest porządku. Konie artylleryczne są bardzo w dobrym stanie, urządzenie zaś furmanów potrzebuie ieszcze poprawy. Na Park Artylleryi, Wozy, Pontony ett. potrzebne mieysce skladowe w Dywizyi Ukraińskiej, aby wszelkie rynsztunki niepodpadały uszkodzeniu. Niewypisuię się długo z pochwałami Woyska tego, dosyć powiedzieć, iż piechota wyborna y musztrowna, kawalerya żadney nieustępuie, a byłaby naylepsza, gdyby niektóre poprawić można wady iako to nieiednostayność Umundurowania y rynsztunków, rozkommanderowania ustawiczne na Luki, Straż Granic, Kressy, Delaty, Exekucye, Konwoie y inne posługi; dzieląc ustawnie na drobne części też korpusa odeymuią im sposobność czwiczenia się w kupie. Przydać do tego należy małość płacy G-nłów Maiorów y Officyerów, żadnego funduszu na nadgrode dla nich ett. Mimo tych zdrożności wyznać należy iż Woysko to ma postać Woyska pięknego, musztrownego, ochoczego y gotowego do boiu. Zagraniczni, którzy przed kilku laty okrywali też same niwy Woyskami swemi patrzali na doskonałość onego z zadziwieniem zazdrości pełnym. Wszystko to winniśmy pieczołowitości y zachęcaniu Króla, gorliwości Narodu y nieustannej pracy Xcia Józefa Poniatowskiego, który niezaluie ani trudów ani kosztu w uformowaniu Onego,

a przykładem swoim wlewa we wszystkich ducha męstwa, punktu y ochoty.“

Uprzejmy lustrator sejmowy usłużył zatem ks. Józefowi „dobrem świadectwem“, a skoro „woysko tak piękne, musztrowne, ochocze do boiu“ — cóż więcej sobie życzyć należy? chyba podwyższenia płacy gienerał-majorom.

Zadzierzgnął los i dociągnął węzeł tragicznego konfliktu. Straszliwe szyderstwo. Wojsko nieodziane i niemal bosc, ale za tę cenę publiczna w Sejmie pochwała komenderującego Księcia!

Aby tem jaśniej zrozumieć i bliżej prawdy odczuć ów ból, jaki targać musiał sercem tak chwalonego wodza, przytoczmy jeszcze jego pożegnalne słowa do wojska. Wniknijmy w ich treść. Ile tam wiary, ile ufności w tę ostatnią rękojmię bytu Rzeczypospolitej.

Pozycja pod Braclawiem zagrożona ciągłym wzrostem sił rosyjskich w pobliżu, nie pozwalała księciu Józefowi ani na chwilę opuścić wojska, stracić z oczu ruchów nieprzyjaciela. W listopadzie wszakże tegoż roku 1791 umiera nagle Potemkin. Korzystając z owej chwili, zdaje Szef Gwardji dowództwo Kościuszce i jedzie do Warszawy. Po raz drugi już w ciągu swego krótkiego naczelnictwa żegna się z wojskiem, rozmiłowanem w swym wozie. Oto jakimi słowy:

„Jutro rano o Godzinie 9-ej ruszą wszystkie korpusy oprócz Batalionu II, który aż popołudniu ruszyć ma po zakończonej Lustracyi z Obozu na konsystencye sobie przeznaczone. Niewątpię, że Ichm. P. P. Kommendanci zwykłą sobie czynnością porządek w Marszu, przysposobienie się do niego ułatwić zechcą, o niczym niezapomną iako też karność, dobre obchodzenie się z chłopami y Obywatelami, ścisły dozór na opłacenie wszystkiego, iednym słowem iak naywiększy porządek utrzymywać będą.

Po kilkoniedzielnym wspólnym, acz szczupłych prac naszych przeciągu, iako dostatecznie miałem porę przekonania się o pilności, dobrej ochocie y szlachetnej ambicyi Ichm. P. P. Komendantów, Sztabs y Ober Officyerów, tak tym czuley mi przychodzi wspomnieć na smutną rozstania się potrzebę, sama tylko mnie cieszyć może nadzieia, że te prace y znoie, które dziś czwiczemu samemu poświęciliśmy, może da Bóg ze skutkiem uwieńczone oglądać będziemy ze szkodą nieprzyjaciół Ojczyzny. Ta iest zapewne najpiękniejsza nadgroda, które każdemu z Ichm. P. P. Officyerów serce życzy, p odwyższenie sławy Imienia Polskiego najpiękniejszą rękoymią, a wybitni kamraci kolledzy trudów naszych, zacni Towarzystwo y żołnierze, którzy tyle daliście dowodów pilności y dobrej chęci, dziękuię Wam, że za waszą pomocą tak pomyslną rokować możemy otuchę. Oddalam się od Was na czas krótki, ale serce moje przy Was zostawiam, a ducha mego przy starszych waszych. Postępuycie za tym co Wam starsi wasi pokażą. Ja choć daleki od Was wzdychać nieprzestanę do chwili, która Was znowu w Obozie zgromadzi. Daymy sobie rękę, Wiara, dzieci y przyjaciele. Niech poprzysiężona królowi y Rzplitey wierność z pamięci Naszey nigdy nie wygaśnie, a wpośród boiu, przyiaźni y iedności złączeni węzłem, będziemy niezwyciężeni. Pamiętaymy, że większe wydoskonalenie się w Naszym rzemieśle, nayściśleysze dopilnowanie Naszych powinności iest dług, któryśmy Ojczyźnie winni...„

Książę Józef dług swój Ojczyźnie spłacał. Błagał, żądał zasiłku dla wojska—przysłano mu pochwały.





*Józef książę Poniatowski*  
(w przededniu bitwy pod Lipskiem).

## KSIĄŻĘ JÓZEF W POEZJI.

(NOTATKA).

Jedno z najpierwszych wspomnień moich z dzieciństwa — to stara niańka, matka organisty z parafjalnego Kleczanowa, nieżyjąca już oddawna pani Kochowa. Chodziła w czepku białym, rurkowanym lub w ciemnej chusteczce na głowie i cienkim głosem, przy akompaniamencie lip, szumiących nieskończone swe pieśni w górnym ogrodzie rodzinnej mojej Święcicy, śpiewała nam dwum, mnie i bratu, trzyletniemu może wówczas, młodszemu odemnie o dwa lata Józiewi, stare a melodyjne i dziwnie wzruszające piosenki.

Śpiewała o Wandzie, „która leży w naszej ziemi, co nie chciała Niemca“, śpiewała o żołnierzu, co to idzie „borem lasem, przymierając z głodu czasem“, a któremu jednak „od Warszawy do Krakowa wszędzie droga jest gotowa“, a choć bywa i chłodno i głodno, on jednak zawaze — „żyje sobie swobodno“; śpiewała i piosnkę o Henryku Dąbrowskim, pradziadzie naszym po kądzieli, który dokonywał dotąd swego — „marsz, marsz Dąbrowski z ziemi włoskiej do Polski“, aż wreszcie przeszedł i Wisłę i Wartę i dał nam przykład razem z Bonapartem, „jak zwycięzać mamy“...

Było tych pieśni więcej, były wśród nich i modlitwy gorące: „Przed Twe ołtarze zanosim błaganie“, albo ta, bardziej jeszcze wstrząsająca serca dziecinne, w której wielki poeta „z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej“ wznosił do Boga błagalny głos, swą skargą straszną, swój jęk ostatni... Uwierzyliśmy mu odrazu — że „od takich modłów bieje włos...“

Ale jedną z najłatwiej zapamiętanych przez nas piosenek był prosty bardzo krakowiak, zaczynający się od słów: „Książę Poniatowski dobrze Niemców kropił, tylko to nieszczęście, że nam się utopił“. Pani Kochowa gniewała się bardzo, gdyśmy przypadkiem zamiast „nieszczęście“ mówili lub śpiewali: „tylko wielka szkoda, że nam się utopił“. „To nie była szkoda, to było wielkie, prawdziwe nieszczęście“ — wołała z pewną zgrozą.

Taka była pierwsza znajomość moja z córką Krakusa i synowcem Stanisława Augusta, z „Napoljonem“ i Dąbrowskim, z poezją wreszcie o księciu Józefie. Później dopiero przy nauce historii polskiej, udzielanej nam przez Matkę z niezapomnianych „Wieczorów pod Lipą“, przyszła kolej i na wyjątki ze śpiewów historycznych Niemcewicza, których wiele umiałem na pamięć, a w tej liczbie i „Pogrzeb księcia Józefa“.

W latach szkolnych, w gimnazjum apuchtinowskim, nieczęsto miało się sposobność czytać i śpiewać o księciu Józefie. Postać wodza-bohatera, któremu Bóg powierzył honor Polaków, przypomniała nam się znowu w okresie uniwersyteckim i później, dzięki prześlicznym wierszom Or-Ota, którego wzruszający kult dla księcia Józefa przyczynił się niewątpliwie do spopularyzowania u nas tej pięknej postaci i zasługuje na uznanie i wdzięczność.

Podając sporą garść utworów, poświęconych w różnych czasach pamięci bohatera narodowego, po bliższe szczegóły o księciu Józefie w poezji odsyłamy czytelników do artykułu Jana Lorentowicza w I-ym numerze „Tygodnika Ilustrowanego“ z r. b. Są tam ciekawe i mało znane ogółowi szerszemu szczegóły. Niestety tylko pominął w nim autor elegję Kazimierza Brodzińskiego „Na wprowadzenie zwłok X. J. Poniatowskiego z pod Lipska do Warszawy“. Utwór ten, jak również przydługą i ciężką, lecz niepozabawioną uczucia elegję Tymowskiego, podajemy w całości, a z pięknych utworów Or-Ota — wiązanek całą. Setna rocznica katastrofy lipskiej przypomniła znowu poetom naszym księcia Józefa. Zaznaczmy piękny i mocny wiersz Gustawa Daniłowskiego w Krakowskiej „Nowej Reformie“ z dnia 19 października.

WE. B.



KANTORBERY TYMOWSKI.

**„Elegja z powodu wprowadzenia zwłok ks. Józefa  
Poniatowskiego przez wojsko narodowe, wracające do  
ojczyzny“.**

(„Almanach lubelski na rok 1815 dla amatorów literatury ojczyzej“.  
Lublin, str. 122—133).

Kiedy bogi zazdrośne śmiertelnika chwały  
Wóz zwycięstw w ziemi naszej pierwszy raz wstrzy-  
I raz jeszcze cofnąwszy polskiej łódź nadziei, [mały,  
Przywiodły do Luteku ród Newy i Sprei;  
Gdy bohater, wzgardziwszy dalszych bojów trudem,  
Wyrzekł się panowania nad niestałym ludem, —  
Wy, ostatni stróżowie dobroczyńcy tronu,  
Wracacie do polskiego gruzów Ilijonu!  
Wracacie do rodziny po łzy i nadzieje:  
Pierwszych brakło żrenicy, druga już wędnieje.  
Rozlały się po globie lackiej krwi strumienie,  
Wielkich ofiar owocem laur i podziwienie.  
Dla serc waszych nadgroda nie wystarcza taka;  
Innych może nasycić, nie może Polaka!



Szlachetniejsze uczucia duszą jego władną,  
I chwała bez ojczyzny nie jest chwałą żadną.

Rycerze! ta ojczyzna żalobą okryta,  
Ze łzami was żegnała, ze łzami was wita.  
Któryż o jej wdzięczności powątpiewać mniema,  
Ceni wielkość zasługi, lecz nagrody nie ma?  
Znajdzie ją w sercach, które z męstwem niestrwożonem  
Tchnęły miłością ziemi i gardziły zgonem.  
Chwalebnych nieszczęść waszych zazdrozczą nam ludy,  
Cóż gdyby szczęście świetne uwieńczyło trudy?  
Wysilił się gniew Niebios, dusze jednak stałe  
Pęta w chlubę, niedolą zamieniły w chwałę.  
Lecz pocóż świetność dzielnych przypominać czynów?  
Wszędzie smutek się łączy do blasku wawrzynów!  
Jakaż to blada żalność czoła sępi męskie?  
Obwiodła krep ponurość ramiona zwycięskie;  
Orły w kirze, ku ziemi pochylone bronie,  
Nowy żal, nową chwałę rozniecają w łonie.  
Już nic zaszczytów waszych przewyższyć nie zdoła:  
Bluszcz wdzięczności otoczył bohatyrskie czoła...

Kiedy walcząc daremnie tyranów liktory,  
Na polu Filipickiem skonał Brutus wtory,  
Prochów męża, pod obcem porzuconych niebem,  
Nie przyszedł wolny ziomek zaszczycić pogrzebem.  
Szczęśliwszą jesteś Polsko! Syny twoje prawe  
Zapomnianą od Rzymian odzierżyły sławę.  
Blizko Sali, co, żyzne oblewając niwy,  
Po słupach Bolesława toczy nurt gniewliwy,  
Wzniósł się gród, co przemysłu zbogacony plonem,  
Sławny walką olbrzymią i Józefa zgonem.  
Tam wydarte Elsterze bohatera ciało  
Na splamionej niewiarą ziemi spoczywało!

Lecz gdzież Polak dziedzicznej chwały zapomina?  
Zawołała ojczyzna o popioły syna!  
I ci, na których walczył i zwyciężał czele,  
Przyszli po świętą własność — smutni właściciele.  
Przyszli i na orężu do grobowca matki  
Przynoszą sarmackiego Brutusa ostatki.

Ponura cichość bramy ogarnęła miasta.  
Milczący w sercach smutek z każdą chwilą wzrasta  
Wszystkie dusze zajęło widowisko wielkie  
I żalości uczucia ustąpiły wszelkie.  
Ledwie trzykroć pogrzebne spiże zaryczały,  
Wybiega lud stolicy zmieniony, zwątpiały!  
I na drodze wolności od płaszczyzny Woli  
Czeka na ostatniego potomka swych króli.  
Próżno! już on nie przyjdzie w tej świetnej postaci,  
Kiedy spękał okowy Małopolskich braci —  
I gdy, zbawczym orężem zdumiwszy Karpaty,  
Wracał bluszczem wdzięczności i laurem bogaty.  
Płacz, Warszawo, Józefa! za kraj wiodąc boje,  
Dwukroć własną zasłaniał piersią mury twoje.  
On na łonie twem wskrzesił narodowe roty  
I przyodział się blaskiem wdzięczności i cnoty.

Ale już dźwięk okropny smutną przerwał ciszę!  
Żal pogrzebowym dzwonem leniwo kołysze.  
Zdrojem się łyzy z męskiego wydzierają oka,  
Nie może ukryć smutku wieczorna pomroka.  
Błysnęły wachle śmierci i światłość niemiła  
Straszny wielkiego zgonu obraz oświeciła!  
Zbliża się wóz żałobny i żałobne bronie!  
Smutne rączego biegu zapomniały konie,  
A Wisła, świadek wieczny poległego chwały,  
Żalości głuche toczyć rozkazała wały.

Patrzcie! Nieme Józefa kir osłonił ciało!  
Tyle nam z najpierwszego Polaka zostało!  
Skoro w nurtach Elstery drogie zgasło życie,  
Stanął duch nieśmiertelny na Olimpu szczycie.  
Szukał sprawiedliwości, a znalazłszy głuchą,  
Wrócił na łono braci z nadziei otuchą

Widzę go w tych zastępach, które w obręb mały  
Całą chwałę poległych i własną zabrały.  
Widzę w ludzie: szlachetna go unosi pycha;  
Cierpi, ale miłością ojczyzny oddycha.

Tak gdy zazdrosna chmura czoło skryje Feba,  
Gaśnie świetność natury, niknie błękit nieba;  
Lecz dzień, rozwodząc światło po cieniach obłoku,  
Świadczy przytomność Boga śmiertelnemu oku.

Jakiż to rycerz blady z pojrzeniem wspaniałem  
W powietrzu nad Józefa unosi się ciałem?  
Opiera dłoń na trumnie obwiedzonej kirem.  
I cień jeszcze nad zmarłym czuwa bohaterem?  
Walecznego Bleszama czyż nie poznajecie?  
Nic rycerskiej młodzieńca nie zrówna zalecie.  
Towarzysz wodza, z wodzem zawód skończył męski,  
Wielką podzielił chwałę i nie przeżył klęski.  
Wy, których los ojczyźnie w czas zachował dalszy,  
Z ciężkim dzielcie żalem zaszczyt najwspanialszy.  
Rycerze! ten wasz hufiec nieszczęsny, lecz dzielny,  
Wiódł w pole wódz zwycięski, z pola nieśmiertelny.  
Ukój łzy sprawiedliwe, niezgięty narodzie!  
Już zwłoki męża w królów spoczywają grodzie!  
Hold im potomki nasze niech złożą ostatnie,  
A my orły i roty powitamy bratnie.

Ziomkowie, odetchnijcie, pod ojczystem niebem;  
Odżywcie się po trudach narodowym chlebem.  
A jeśli jeszcze szczęsne wyroki pozwolą,  
Że wolni orać będziem ojców naszych rolą,  
Każdy z was rzeknie bratu z szlachetnym zapalem:  
„Do wskrzeszenia ojczyzny i ja należałem“.  
Lecz cóż? że sercom naszym kraj ojców jest miły.  
Poświęcenia dostatki, Mars wyczerpał siły.  
Duch tylko został dzielny w osłabionem ciele,  
Chwała, męstwo, nadzieja i nieprzyjaciele.  
Tamta pęta niewoli blaskiem swym oświeci,  
To najdroższą wolności iskierkę roznieci.  
Trzecia ożywiać będzie patryjotyzm bratni,  
A cnotę naszą muszą szacować ostatni.

Lecz gdzież mię myśl uniosła? natchnienie mi wieszczę  
Rzekło: jest Bóg słuszności! w Nim ufajcie jeszcze  
Ty, co, rządząc północą w towarzystwie sławy,  
W bluszcze uszczęśliwienia mieniasz wawrzyn krwawy,  
Co, zawiesiwszy zemstę na Paryża wale,  
Zwyciężyć i przebaczyć umiałeś wspaniale, —  
Pójdź do nowej wielkości, tej dokonaj drogi,  
Na której szczęście nasze zatrzymały bogi.  
To, którego nie mogły siły wznieść olbrzymie,  
Wznies królestwo Chrobrego, zaszczyty i imię.  
Europa się zawstydzi, a potomność powie:  
„Upadł gmach, co go sami stawili bogowie;  
Dźwigał go Alcyd Franków, lecz runął na nowo  
A jedno Aleksandra podniosło go słowo!“

JULJAN URSYN NIEMCEWICZ.

## **Pogrzeb księcia Józefa Poniatowskiego.**

### **P i e n i e   z a ł o b n e .**

Z pomiędzy bojów i gradów ognistych,  
Wierna swej sprawie, nieodstępna znaków,  
Szła wolnym krokiem do siedlisk ojczystych  
Garstka Polaków.

Skoro lud postrzegł, jak wzdęte wiatrami  
Białe z czerwonym proporce migają,  
Wstrząsło się miasto radości głosami:  
„Nasi wracają“.

Niedługa radość; każdy pyta chciwie:  
Kędyż jest wódz nasz dzielny, okazały,  
Co nam tak długo przywodził szczęśliwie  
Na polu chwały?

Już go nie widać na czele tych szyków,  
Których był niegdyś duszą i ozdobą;  
Okryte orły, zbroje wojowników,  
Czarną żałobą.

Już go nie widać wpośród hufców dzielnych,  
Gdzież jest... czy słyszysz żal wszystkich głęboki?  
Patrzaj, złożone na marach śmiertelnych,  
Rycerza zwłoki.

Te mary, ten wóz, spoczynek po znoju,  
Lud wdzięczny łzami oblewa rzewnemi,  
Ciągną go wierni towarzysze boju  
Piersi własnemi.

Idzie za trumną koń jego waleczny,  
Z schyloną głową, czarną niosąc zbroję;  
Idź, koniu, smutnie, już pan twój bezpieczny,  
Zamknął dni swoje.

Żałosne trąby, wy, flety płacziwe,  
Wy, chwiejących się orłów srebrne dźwięki,  
Umilczcie, ranią piersi moje tkliwe  
Te smętne jęki.

Patrz, przed świątynią, przy światłach gasnących,  
Porywa młodzież z wozu ciężar drogi  
I wznosi wśród grzmotu dział bijących  
W wieczności progi.

Modły kapłanów, braci twoich łkania,  
Wznoszą się tam, gdzie mieszka Bóg przedwieczny.  
Ach, przyjm ostatnie te ich pożegnania,  
Wodzu waleczny!

Dzieliłeś z nami ciężkie utrapienia,  
Wielkie ofiary, prace bez nagrody  
I, zamiast słodkich nadziei ziszczenia,  
Gorzkie zawody.

Tulmy łzy nasze: już jesteś szczęśliwy;  
Kto za ojczyznę walczył, poległ śmiały,  
Już temu wieniec dał Bóg sprawiedliwy  
Wieczystej chwały.

Wdzięczni ziomkowie, ceniąc zgon i życie,  
Nie dadzą wiekom zatrzeć twoich czynów,  
Wzniosą grób pyszny, zawieszą na szczycie  
Wieniec wawrzynów.

Wyryją na nim, jak w ostatniej toni,  
Śmierć nad nadzieje przenosząc zgubione,  
Runąłeś z koniem i z orężem w dłoni  
W nurty spienione.

Posąg twój będzie lud otaczał mnogi;  
Ten napis twarde zachowają głązy,  
„Tu leży rycerz, co walczył bez trwogi  
I żył bez skazy“.

Tam żołnierz, pełen rycerskiej ochoty,  
Zaostrzy oręż o krawędź twej tarczy,  
Pewien, że, przez to, nabywszy twej cnoty,  
Tysiącom starczy.



KORNEL UJEJSKI.

**Przy pomniku ks. Józefa Poniatowskiego w Lipsku.**

„Płyną Elstery wody, płyną zawsze,  
A rany Twojej dotąd nie obmyły,  
Fale jej coraz mętniejsze i krwawsze“.  
O, precz ze skargą! z pod Jego mogiły  
Bojowej trąby dosłyszałem dźwięki.

Płomiennej ziemi garść wezmę do ręki!  
Jutro, gdy rzucę ją w polskie powietrze,  
Popiołem spadnie na pokutne głowy,  
A z Faryzeów fałszywy blask zetrze,  
. . . . . spali, jak dech Samumowy.

O jasny wodzu zórawiego stada!  
Słoneczny hufiec Twój odleciał mgłami,  
Dziś nowe gniazdo do lotu rozkłada  
Skrzydła niewprawne — więc leć Ty przed nami,  
Orle Olimpu! z piorunami w szponach.



KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

**Na wprowadzenie zwłok ks. Józefa Poniatowskiego  
z pod Lipska do Warszawy r. 1815.**

Gdy noc, smętna kapłanka, w czarne strojna szaty,  
W świątynicy Pańskiej wkoło pozapala światy,

Dnia zmarłego cień blady zalega po ziemi,  
Zgon jego wieże głoszą dzwony posepnemi,  
Księżyc z za mgły, jak lampa świeci mu grobowa,  
Łzami kwiatów zroszonych pochyla się głowa:—  
Tak z dalekich pól sławy i nasz cień przychodzi;  
Pośród pieśni żałobnych, pośród łez powodzi  
Ludy go włości miastom, miasta zdają włości,  
Coraz dotkliwsze bóle, głośniejsze żalości,  
Im dalej ku północy pomnażane dzwony  
Budzą lud na żal nowy od żalu uspiiony.

O bracia! już ostatnia wybiła nam pora:  
W nieszczęsną Troję zwłoki prowadzą Hektora,  
Spocznie Bóg — grot ostatni padł na polską ziemię:  
Już Mu braknie pocisków na sarmackie plemię.  
Gdy Zwycięzca krąg ziemski uwieńczał oliwą  
I ten łańcuch na Polskę ciągnął nieszczęśliwą,  
Nadszedł na grób Józefa — i to jedno przecie,  
Narody, co naszego, dotąd oddajecie.

O, dzięki tobie! coć Bóg to zdarzył zwycięstwo,  
Byś uczył, jak ludzkością wieńczyć Marsa męstwo,  
Ty, co czcisz nieszczęśliwych i szanujesz prawa,  
Szczęście życiem, wiecznością niech będzie twa sława!

A ty, o cieniu drogi! przybywaj w twe kraje!  
Cała nieszczęsna Polska twym grobem zostaje,  
Pośród łez i pochodni stawaj między nami,  
Przybywaj, jak noc smutna pomiędzy gwiazdami.  
Wychodzimy przed ciebie łzami znaczyć ślady,  
Z nami marne wspomnienia, z nami smutek blady.

Ale cóż rozpogadza smutek tak głęboki?  
Cóż to? wesele w oczach, wstrzymują się kroki?  
Ach! Ostatki rycerstwa z tyłu walk witacie! —  
O, Europo! o ziemio! niebios majestacie!  
Czyż wy tkliwsze w wieczności widziałyście chwile?  
Skąd nieszczęście scen smutnych bierze dla nas tyle!  
Jak serce poruszone zdoła się ośmielić,  
Czy swą tkliwość na radość, czy na żal podzielić?  
Matka się zapłakana o syna nie pyta,  
Brat poznanego brata za dłonie nie chwyta,  
Wszyscy bowiem rycerze, jak cienie, z milczeniem,  
Do grobu za kochanym przeciągają cieniem. —  
Drogie ofiary Polski nieszczęśliwej ziemi!  
Niegdyś ze wszystkich, teraz walczyli z wszystkimi,  
Krwia znacząc wszystkie rzeki i pola i grody,  
Szli o matkę porwaną wołać na narody.  
Gdy w srogich Lipska polach śmierć mordów zgłodniała  
Z otwartą paszczą nowych ofiar wyglądała,  
Mars krążył ponad wojskiem walczącym wzniesiony,  
Na mieczu ważąc pokój, prawa i korony;  
Trzy dni o nie Europa, trzy walczyła nocy,  
Chwiały się do południa, chwiały do północy,

Polacy, jako cienie, wystraszone z grobu,  
Ostatniego rozpaczy biorą się sposobu, —  
Walczą, aże morderstwom położył Bóg miarę,  
Od nieszczęśliwych tylko przyjąwszy ofiarę.  
Tam wszystko, wszystkie kraje pozyskać pragniecie,  
Ci stracili ostatnie — prócz nadziei przecie;  
Tej pochodnia, w krwi wodza zanurzona cała,  
Zwodnego Lechom światła zgasić nie zdołała,  
Jak mara, za Elsterę z bojowiska leci  
Nad Ren, Sekwanę jeszcze wodzić swoje dzieci;  
Tam, gdy różgę oliwy króle szczepić mieli,  
Im miejsca nie zostało, gdzieby ją zatknęli!  
Dziś powracają z resztą potrzaskanej stali,  
Kiedy drugą część ziemi próżno krwią zmazali;  
Na północ znowu swoje ściągają nadzieje,  
Co z wawrzynów Zwycięzcy znowu im się śmieje;  
Onym hufce zwycięzców w drodze miejsce dały,  
Bo nieśli wielkie prawa: nieszczęścia i chwały.  
Nie dla krwi, nie na chciwe uciążenie świata,  
Za ziemię tylko ojców podniósł miecz Sarmata;  
Nieszczęśliwy! lecz niech mu szczęśliwy zazdrości:  
Niema cnoty bez walki, bez nieszczęść wielkości!

Lecz cóż nowej boleści nastarczyć podola?  
Zbliża się głuchy łoskot pogrzebnego koła,  
Patrzcie, co za cień blady — gdzie ta czoła świetność?  
Kędy ten ogień twarzy, postawy szlachetność?  
Ach! te same to dłonie, co nas zasłaniały,  
Już się nie wzniosą, długo spocznie oręż chwały,  
Nie otworzą się oczy, z których niegdyś szyki  
Czytały niecierpliwie, gdzie są najezdniki;  
Na głos: ojczyzna — już się to serce nie wzrusza!  
Jak smętny ślad tak wielka zostawiła dusza!

Też to teraz pochodnie, te to czarne szaty  
Za bramy tryumfalne, za laury i kwiaty?  
Za okrzyki radości grobowe milczenie,  
Dzwony posępne za te trąb marsowych brzmienie?  
Jakże smętny koń jego, na którym z zwycięstwa  
Wjeżdżał w bramy wódz niegdyś z nowym plonem męstwa —  
Gdzie te szyki, którymi braci oswobodził,  
Z mnóstwem wracał od boju, a z garstką wychodził?  
Wszystko znikło — po blasku cienie się zostały!  
Zdołał wszystko los przemóc — okrom marnej chwały

Wódz to był, który bitwy zwycięstwami liczył,  
Ilu mężom dowodził, tyle serc dziedziczył,  
Serca wojsk wiódł ku sobie, a ku wrogom tronie,  
Serca brał zwyciężonym, gdy odbierał bronie,  
Do niego swe nadzieje znosił naród cały,  
Młodzież pod jego wodzę swe zdała zapasy!  
Było to ciche hasło w bitwach do ochoty,  
Stopień godzien cnót tyłu, stopnia godne cnoty,  
Podpora, na której się, wstając, matka wsparła: —  
To wszystko jedną chwilą sroga śmierć wydarła!

Zapłacz, zapłacz, ojczyzno! łzami oblej zwłoki:  
To ciało krwi za ciebie wylało potoki.  
Strójcie mu grób, dziewice, uwieńczajcie w kwiaty,  
Broń waszą potrzaskaną kładźcie mu, Sarmaty,  
Nie temu, co krew bratnią rozbryzgał po globie,  
Cesarowi, co tron wznosił na ojczyzny grobie, —  
Temu pomnik stawiajmy, łez poświęćmy zdroje,  
Co, ziemi synów broniąc, z nieszczęściem wiódł boje!

O cieniu! twój grób, jedną dziedzinę Sarmatów,  
Niech stroją setne wiosny w wybór wonnych kwiatów!  
Zasypiaj między nami! Koło twej mogiły  
Oby się złe przeganiać duchy nie ważyły;

Niech się czasom zawistnym oprze twa mogiła,  
 Niech świadczy, ile ziemia polskiej krwi wypięła!  
 Już ciebie nasze oko wypłakać nie zdoła,  
 Głos ojczyzny nie wzbudzi, żal nasz nie wywoła:  
 Nieodwołane słońce tonie w głębiach wody,  
 Tysiące gwiazd za niego nie dadzą nagrody.

Kędy od smutnej, wojną gorejącej osi,  
 Wysoko z wybranymi Boga niebo wznosi,  
 Tam chlubna przed swym światem z wytwornego dzieła  
 Za wcześniej Istność ciebie do wyższych prac wzięła;  
 Krok olbrzymi po wielkim uczyniwszy zgonie,  
 Świetny duchu! przy samym Jej stanąłeś tronie!  
 Tam stać będziesz twą sławą, naszym żalem wieczny;  
 Tam miejsce, z którego brzmi wyrok ostateczny;  
 Tam, gdzie przyszłość z przeszłością w jeden punkt się łączy,  
 Ty czytasz, ile jeszcze Polak łez wysączy;  
 Tam sprawiedliwość w środku świata osiedziała.  
 Pod jej okiem budowa przetacza się cała;  
 Tam ona wagę trzyma przed Boga obliczem, —  
 Gdy ją puści, runie świat i stanie się niczem!  
 Przed nią tam wszystkie chwile życia ludów stoją,  
 Tam łzy i krew przelaną mierzy dłonią swoją;  
 Tam się jej jeszcze spytaj na wysokim niebie,  
 Czego jeszcze chce po nas, gdy już wzięła ciebie!  
 Mów, że znękany Polak stanie przed nią śmieie  
 Z mnóstwem boleści w sercu, z mnóstwem ran na ciele,  
 Powie, że krew przelewał za jej własną sławę:  
 Niech nie gardzi ofiarą, sądzi jego sprawę.

Ale, droga ojczyzno! marzenie o tobie  
 Usypia we śnie dziecię, choć na ojca grobie;  
 Płaczemy, — wewnętrznych bólów mowa nie okryśli,  
 Jednak zawsze stracona ojczyzna na myśli;

Tak się często śni dzieciom po pogrzebie matki,  
Tak z nieba opiekuna marzą sobie dziatki.  
Spocznij, cieniu! niech i łzy nie budzą cię bratnie,  
Resztom Jagiełłów dzisiaj zlejemy ostatnie!  
Oby ci szczątek polskiej choć wyżebrać ziemi,  
Byś przynajmniej grób własny kupił rany twemi!

Pójdziemy z twoim cieniem do Pańskiej świątyni:  
Ten lud, z którym nieszczęście tyle cudów czyni,  
Może dziś litość nieba obróci na siebie,  
Ten lud, co, dziś z nadzieją, tyle nadziei grzebie,  
Choć nękany od Ciebie, niepojęty Boże!  
Już nie śmie, już, jak niegdyś, modlić się nie może;  
Wie przecie, że, kto w Tobie otuchę założył,  
Zapewnie chętnie skórał, niż nieufny ozył.  
Ujmij sprawiedliwości litością coś przecie,  
Boś Ty nietylko sędzia, lecz i ojcem w świetle!  
Zakończ już nasze klęski dzisiejszą żałobą:  
Wszak z ostatnią ofiarą stojemy przed Tobą!



ARTUR OPPMAN (OR-OT).

### Romans księcia Pepi.

Na lazurach już pełnia lśni biała,  
W Wiśle słońko zanurza się złote,  
Cichy wieczór na miasto opada,  
Siejąc smutek, zadumę, tęsknotę.  
Zagadały wiślane topiele,  
Fala płowa coś szumi, coś płacze,  
I zmierzch srebrny tumanem się ściele  
Na wybrzeża, na domki rybacze...

Błysło światło przez chaty okienka,  
Do wieczerzy zasiada rodzina;  
We drzwiach jasna mignęła sukienka,  
I wybiegła rybacka dziewczyna;  
Tam na Wiśle pluskają gdzieś wiosła,  
Tam flisaków brzmi piosnka daleka —  
Ona rękę do oczu podniosła  
I w dal patrzy — i tęskni — i czeka...

Zatętniały kopyta na piasku,  
Głos ich fala stłumiła wnet szumna,  
I w miesięcznym wyłania się blasku  
Jakaś postać młodzieńcza i dumna.  
Drży i płonie dziewczyna pierzchliwa,  
Modre oczy rzęsami otula —  
I rybaczkę już w uścisk porywa  
Ulubieniec Warszawy i króla...

Sfinka.

I śni dwoje nad brzegiem topieli,  
Takich pełnych młodości i krasy —  
Na niej skromna sukienka się bieli,  
Jego stroją jedwabie, atłasy.  
Jednakowym ich oczy lśnią błyskiem,  
Od jednakich ich serca drżą tonów,  
I miłosnym się splekli uściskiem:  
Kwiat Powiśla i słońce salonów...

Dziewczę mówi: „Nie chadzać mi w złocie!  
Polne kwiatki mnie jeno stroiły!  
Gdzież się równać z paniami sierocie?  
Gdzież bławatkom do słonka, o miły!  
Tyle pięknych po zamkach i dworach,  
Ach! tak pięknych, jak gwiazdy na niebie...  
I zapomnisz o słodkich wieczorach!...  
I zabiorą!... zabiorą mi ciebie!...“

Na to ksiązę: „W więzieniach ze złota  
O! nie dla mnie, nie dla mnie tam życie!  
Moją duszę porywa tęsknota,  
W nieskończonym ją kąpiąc błękicie!  
Co mi dworskie assamble i bale!  
Jak cień, nuda się za mną tam snuje...  
Jam szczęśliwy, gdy warg tych korale,  
Gdy twe oczy całuję... całuję...“

Cicho fala się skarży i żali,  
Cicho szumi tatarak nadwodny,  
Pochyliły się drzewa w oddali,  
I przyleciał z za rzeki wiatr chłodny.  
Księżyc pasma srebrzyste rozpina  
I śmieje się, i czuwa na straży...  
Czegoś płacze rybacka dziewczyna,  
Ksiązę Pepi coś duma... coś marzy...



Czy go anioł potrafił skrzydłami  
I dalekie pokazał widziadła?  
Czy ta przyszłość, co jeszcze za mgłami,  
Gdyby kamień, na duszę mu padła?  
Czy Elstera błysnęła mu sina,  
Że łza w oku, a uśmiech łśni z twarzy?...  
Czegoś płacze rybacka dziewczyna,  
Księżę Pepi coś дума... coś marzy...

### List księcia Józefa.

1792.

Nocą, z obozu, Najjaśniejszy Panie,  
Piszę do Ciebie ten żołnierski list,  
Jeszcze mam w uszach trąb Dubienki granie  
I z pod Zieleniec szczęk szabel, kul świst;  
Na wieść z Warszawy, z oficerów korem,  
Jam się z mym polskim rozsądzał honorem —  
I z twych się, królu, wypisuję list!...

Sercu rycerza ciężka chwila taka,  
Kiedy z karnością musi toczyć bój,  
Alem ja pierwaj miano miał Polaka,  
Zanim, o królu, wdziałem mundur twój!  
Byłeś mi ojcem, Najjaśniejszy Panie,  
Ale mnie Matki dobiega wołanie:  
Tam jest me serce, posterunek mój!...

Twarde te słowa niech mi Bóg przebaczy,  
Bo wiem, jak krwawo ranią łono twe,

Lecz, mój monarcho, lepiej zginąć raczej,  
Niż wlec w kajdanach pohańbione dnie!  
Gdybyś tu, królu, z podniesioną głową,  
Pod swą chorągwią stanął purpurową —  
Duchby zwyciężył, co jak wulkan wre!...

Jeszcze nademną szumią polskie znaki:  
Anioł z Pogonią, z Orłem samotrześć!  
Jeszcze mi moje hukają kozaki:  
„Bat’ku Josype! na armaty wiedz!”  
Lecz już z Ilińskim, z Wielhorskim, z Kościuszką  
Nie skoczę wichrem z moją białonóżką,  
Wołając do niej: „Leć na wroga, leć!...”

Nie mogąc umrzeć, jako bohaterzy,  
Dla ciebie, królu, i Ojczyzny swej,  
Z listem ci moje odsyłam ordery,  
Te, które wszystkie miałem z łaski twej;  
Z jednym się tylko rozstawałem długo:  
Z krzyżem *Virtuti*, zdobytym zasługą, —  
Ten mi do trumny kiedyś włożyć chciej!...

Porozpraszeni, jak przez burzę ptactwo,  
Nim na mogiłach braci wszędzie wrzos,  
Z towarzyszami pójdziem na tułactwo,  
Ojczyzny miłej opłakiwać los;  
Zwykłe do konia i oręża dłonie  
Cóż będą czynić w cudzej, obcej stronie,  
Gdy z trosk przedwcześnie pobieleje włos?

Za nich to, królu! za moich kamratów!  
Do królewskiego czucia wstawiam się;  
Oni szli mężnie na ogień granatów,  
A iluż legło w nieprzespanym śnie!

Wdowom, sierotom i tym, którzy w ranach  
 Na ziemi polskiej zostaną kurhanach,  
 Daj chleb: niech obcy nie sromoci je!...

A teraz, królu, myślę, jak to lepiej,  
 Jak mam zakończyć krwawy życia szmat:  
 Czyli się tobie przypomnieć: „Twój Pepi“,  
 Pepi z tych dawnych, Łazienkowskich lat?  
 Czy mam krwią serca nakreślone głoski  
 Podpisać tylko: Józef Poniąkowski —  
 Króla, czy stryja zostawić tu ślad?...

W namiocie świta — i słyszę wezwanie,  
 Że już mi pora za Ojczyzny próg!  
 Zegnam cię tedy, Najjaśniejszy Panie,  
 Jako wędrowiec — u rozstajnych dróg.  
 Zegnam cię — królu! ja o jedno proszę:  
 Niechaj do śmierci, jako sztandar, noszę  
 Ten honor Polski, co mi zwierzył Bóg!...

### Elstera.

Biały pod nim arabczyk zrywa się do skoku,  
 Burka szumi na wietrze, nito orle pióra, —  
 I runął: piany srebrnej owiała go chmura  
 I krwawieje ułanka, jak gwiazda w obłoku.

Ryk armat! Dym! Płomieni złoto i purpura!  
 Drapieżna ręka śmierci, wysunięta z mroku!  
 Koni! koniu rycerski! o, płyn! krok! pół kroku!  
 O, falo! nie bądź katem!

O, falo ponura!

Trzask! Imperium się wali! Ludy! Epos kona!  
O, gwiazdo! Gwiazdo Polski i Napoleona!  
Pękły niebios wierzeje i grom z nich uderzył!

A z ziemi, jak mgła, płynie i w lazurach stawa,  
Postać blada śmiertelnie — zadumana — krwawa  
I we łzach zwraca Bogu, co jej Bóg powierzył...

### E l e g j a .

Toczy Elstera swoje mętne wody,  
Między kamieniem brzegi okutemi.  
Nad jej falami stań, wędrowcze młody,  
Z dalekiej, obcej zatułany ziemi.  
Październikowy wiatr po chmurach goni  
I z drzew pożółkłe otrząsa listowie...  
Ach, tobie rzeka może więcej powie!  
Może ci tajnie głębin swych odsłoni!...

Jak pogubione białych orłów piórka,  
Polskie wspomnienia błakają się w świecie,  
Gra im melodja starego mazurka  
Na zapomnianym prababek szpincie.  
Lecz w sercu polskim tak się zbiegły razem  
I w taką świętą splotły się koronę,  
Że ich nie wydrzeć ogniem i żelazem,  
Bo w jedną całość z sercem są stopione!

*Bóg mi powierzył...* szemrze fala cicha.  
Echo z ojczyzny szeptem odpowiada;  
Liść się ostatni na drzewie kołycha  
I, jak łza twoja, do Elstery spada.  
Obcymi dźwięki brzmi przechodniów mowa, —  
Ale tyś stanął u takiego celu,

Jakgdyby z wszystkich grobowców Wawelu  
Szła tutaj Polski dusza narodowa!

Jękliwie biją te żałobne dzwony,  
Które na drogę wiodły go powrotną,  
I wóz się toczy — i smutne legjony  
Idą bez wodza kolumną samotną.  
Bojowy rumak w podkowy uderza,  
Srebrnem wędzidłem niecierpliwie trzęsie, —  
A łza, co cieknie po żołnierskiej rzęsie,  
Spłynie na syny i wnuki żołnierza!...

Prosty sarkofag jest w wawelskiej krypcie,  
W nim wodza Polski śpią rycerskie zwłoki —  
I jemu kiedyś mogiłę usypcie  
Obok tamtego — pod polskie obłoki!  
Niech nad nią lecą poranne skowronki.  
Wiosennej zorzy zwiastując rumieńce, —  
A polskie kwiaty z jego polskiej łąki  
Może się jeszcze zwiną w lauru wieńce!...

Wodzu! Nikt nigdy nie przeżył tak górnie  
Losów narodu w sercu swem człowieczem,  
Jak ty, gdyś złożył w śmierci swej, jak w urnie,  
Życie ojczyzny pod strzaskanym mieczem!  
Ono z niej bujnym wystrzeliło kwiatem,  
A z tego życia i śmierci przymierza  
Tyś wyniósł Polski obronę przed światem  
I nieskalany pióropusz rycerza!...

Sto lat minęło, a w sercach narodu  
W tej samej zjawie trwasz polskiemu oku:  
Z oczyma w niebie — i w rycerskim skoku  
Do ostatniego w zaświaty pochodu!

Na koniu, rwącym skroś dziejów zamieci,  
W burce rozwianej w skrzydła orlich ptaków,  
Do Boga duch twój leci! — sto lat leci! —  
A Bóg — nie zwraca honoru Polaków!

Szumi Elstera, mętne wody toczy,  
Coś opowiada urwanemi słowy,  
W obcych przechodniów obojętne oczy  
Patrzy wzrok chłopca mocny i surowy.  
Oni nie wiedzą, jak mu serce rośnie,  
Jak duch się pręży, gdyby ostra szpada! —  
I że ta jesień — mówi mu o wiosnie,  
I że ten wieczór — o dniu mu powiada...

Wodzu! jak wiarus z pod twojego znaku,  
Co klęknął z płaczem pod twoim obrazem  
I wołał: „Książę! czemuś z sobą razem  
Nie dał mi zginąć w ostatnim ataku!“  
Tak naród cały, zapatrzonej w Ciebie,  
Z równą miłością, wierną i pamiętną,  
Chce czuć w swem sercu twego serca tętno  
I z ręki Boga honor twój — wziąć w siebie!...

ZDZISŁAW DĘBICKI.

### W Jabłonie.

Oto się Czasu rozsuwają ramy...  
Pałac w Jabłonie... Strojne, piękne damy —  
I księżę Józef i wróżka, co wróży  
Księżciu lot ptaka słoneczny wśród burzy:

„Słuchaj! Twój rumak do boju się wspina,  
Słuchaj! Wybije wnet wielka godzina,  
Opustoszeje swawolna Warszawa,  
A w krwi i w dymie wszędzie Twoja sława..

Jak orzeł, przodem polecisz na boje,  
A cześć i honor jest dziedzictwo Twoje —  
Widzę błysk jasny Twojego oręża,  
Widzę błysk szabli Twojej, co zwycięża...

Orłowym pomkniesz, podsłonecznym lotem  
I świat zadziwisz swych skrzydeł łopotem,  
I królewskiego będziesz szukał gniazda  
W duszy Narodu — tać jest Twoja gwiazda...

Umiłowaniem silny, w duszę męską  
To wszystko weźmiesz, które było klęską,  
I wypromienisz z tego wśród zawiei  
Krzepiący promień Wiary i Nadziei...

I będziesz sławny między sławne wodze,  
I przez świat pójdziesz w bitewnej pozodze,

I w huku armat słuchać będziesz słowa,  
Co narodową w sobie przyszłość chowa...

Koń Twój złotemi zadzwoni podkowy  
I poniesie Cię w rozbrzask — na dzień nowy,  
Błyskawicami pisany na niebie...  
Książę mój, Panie, Wodzu! Widzę Ciebie...

Wśród chorągiewnych szumów, w walk zamęcie,  
Słońce masz jasne na swym firmamencie,  
Zachód i wschód zaś połączyły dłonie,  
Aby ci wawrzyn położyć na skronie...

Lecz strzeż się, Panie! Daleka, daleka,  
Jest na twej drodze, niby wstęga, rzeka...  
Przez łąki kwietne krwawy nurt swój toczy...  
Zatrzymał się Twój rumak... Strzeż się... Skoczy...

Słyszę grzmot bitwy... Grają wszystkie działa,  
Błysk przeciął niebo... Gwiazda Twa zleciała...  
Zadrzała ziemia... lecz w prochowym dymie  
Widzę Twe jasne, Nieśmiertelne Imię..."







## PAMIĄTKI PO KS. JÓZEFIE.

Zawdzięczając uprzejmości dyrektora muzeum miejskiego w Lipsku, prof. dr. Kurzweilly'ego i łaskawemu pośrednictwu p. St. Jarkowskiego, podajemy poniżej najzupełniej dokładny spis pamiątek po naszym bohaterze, znajdujących się w Lipskiem Muzeum (Stadtgeschichtliches Museum zu Leipzig), a przez dr. Kurzweilly'ego wielką otaczanych pieczołowitością.

W. K.

Portrety rodziny Gerhardów, w ogrodzie których (będącym naówczas jeszcze własnością Reichenbacha) znalazł śmierć ks. Poniatowski i z których fundacji została założona najważniejsza część „Zbiorów Poniatowskiego“.

Pomnik ks. Poniatowskiego, litografia F. A. Frickego, według A. Mosera.

Domek japoński w ogrodzie Reichenbachów, — Litografia.

Śmierć Poniatowskiego, litografia według Goldenberga, przez braci Schainer.

Pomnik Poniatowskiego w ogrodzie Gerharda, rys. i litogr. z natury przez F. A. Frickego.

Pomnik Poniatowskiego w ogrodzie Gerharda. — Akwarela.

Szytych Debucourt'a według Horacego Vernet'a: Józef książę Poniatowski ginie, przebywając Elsterę 19 października 1813 r.

Szytych Volmara według Horacego Vernet'a: Mort du prince Joseph Poniatowski en traversant l'Esther le 19 oct. 1813.

Szytych G. Engelmann: ditto.

Litografja według Martineta: Der in der Elster wieder aufgefundenene Fürst Poniatowski.

Sztych Charona według Martinet'a: Poniatowski fait ses adieux à sa famille.

Ernst Wilhelm Strassberger: Walka w ogrodzie Gerhard'ów (obraz olejny).

Poniatowski (pastel). Henryk Schmidt, nadworny malarz, Drezno:

Sztych: Książę Józef Poniatowski, Wódz naczelny wojsk polskich i marszałek Francji.

Sztych Lour Taine'a wedł. M-me Lesuire: Poniatowski.

Litografja, według Oldermanna: ditto

Sztych Esslingera: ditto

Sztych Contenan'a według Vauchelet'a: ditto

Sztych Bodego: ditto

Rysunek ołówkowy Strassbergera: Walka w ogrodzie Gerharda.

Staloryt I. I. Wagnera: W ogrodzie Gerharda.

Śmierć Poniatowskiego. Litografja Zieglera według Vernet'a.

Pomnik Poniatowskiego w ogrodzie Gerharda. Sztych Krause'go.

Ang. kolor. litografja: Józef książę Poniatowski.

Sztych Fleischmanna: Śmierć księcia Poniatowskiego.

Domek japoński w ogrodzie Gerharda z pomnikiem Poniatowskiego. — Litografja:

Pomnik Poniatowskiego w ogrodzie Gerharda. — Litografja.

Widok pomnika ks. Poniatowskiego i okolicy, gdzie znalazł śmierć w Elsterze 19 paźdz. 1813 r. przy odwróceniu armji franc. z pod Lipska. — Litografja.

Pomnik Poniatowskiego w Lipsku. — Litografja Arltda.

Herb Poniatowskiego. — Litografja.

Pomnik Poniatowskiego w ogrodzie Gerharda w Lipsku.— Drzeworyt.

Litografja Rothe'go według Jentsch'a: Ś. Pamięci księcia Józefa Poniatowskiego, *Viribus invictus patriae pietate decorus.*

Portret olejny Poniatowskiego.

Schublonsky (?): Śmierć Poniatowskiego w Elsterze (olejny).

Popiersie Poniatowskiego (marmur).

Model pomnika Poniatowskiego przez Thorwaldsena.

Pistolety Poniatowskiego.

Fajka Poniatowskiego z napisem: *Ich gehörte Josef Poniatowski, Prttwitz, 24 Okt. 1813.*

Pierścienie Poniatowskiego.

Autografy Poniatowskiego.

Urzędowa lista zmarłych z wyciągiem z aktów z dn. 26 paźdz. (wtorek): *J. Ośw. ks. J. Poniatowski, około 50 lat, minister wojny i Wódz Wojsk Polskich, również Marszałek Francji.*

Tabakierki z wizerunkami śmierci Poniatowskiego.

Ziemia z miejsca, gdzie Poniatowski został pochowany.

Śmierć ks. Poniatowskiego, przez Augusta Mosera (Epos).

Poniatowski, wiersz Béranger'a (10 lipca 1831 r.).

Odpis protokołu znalezienia ciała ks. Józefa Poniatowskiego.

Siodło Poniatowskiego.

Kości Konia Poniatowskiego.

Model domku japońskiego w ogrodzie Gerharda.

Model pomnika Poniatowskiego w ogrod. Gerharda.



## KONKURS POETYCKI „SFINKSA“.

Niniejszym siedemdziesiątym zeszytem „Sfinksa“ rozpoczynamy *dwudziesty czwarty* tom wydawnictwa, które w ponurej i mrocznej dobie porewolucyjnej, wśród przygnębienia i apatii ogólnej, starało się w miarę sił i możliwości służyć wytrwale literaturze i sztuce ojczystej i stać na straży niegasnących ideałów Dobra, Prawdy i Piękna, których wyrazicielką była zawsze literatura, a zwłaszcza poezja nasza.

Przeświadczeni głęboko, że — wedle słów poety — „pieśni wieszczów w narodzie są tak, jako w człowieku bywa serca bicie, co razem w ciele podtrzymuje życie i o życiu daje znak“, dla poezji prawdziwej otwieraliśmy zawsze szeroko łamy „Sfinksa“, zamieszczając w nim chętnie zarówno dzieła twórców wybitnych i uznanych, jak pierwsze próby talentów młodych, z których niejeden już otrzymał w piśmie naszym chrzest literacki. Staraliśmy się również w szeregu rozpraw i studjów o Mickiewiczu, Słowackim, Krasińskim, Asnyku, Konopnickiej, Wyspiańskim i innych wielkich twórcach naszych uprzystęp-

nić i popularyzować ich uczucia i myśli, budzić wśród ogółu zainteresowanie i kult dla tych, którzy w najcięższych chwilach naszego życia katakumbowego nie pozwalali Narodowi upadać na duchu, lecz rzucaли hasła płomienne: „W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele“, zaklinali, by żywi nie tracili nadziei i nakazywali „z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe“ ...

Ogłoszony przez nas przed paru laty konkurs na powieść poetycką, ku uczczeniu setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego, przyniósł kilka utworów prawdziwego talentu, a przedewszystkiem uwieńczony nagrodą pierwszą poemat Jadwigi Marcinowskiej p. t. „Tęsknota Hetmana“.

Zachęteni tem, ogłaszamy obecnie **nowy konkurs poetycki „Sfinksa“ na cykl sonetów (od trzech do sześciu), dowolnej treści, stanowiących jednak pewną całość ideową**, i zapraszamy wszystkich poetów polskich do wzięcia udziału w tym nowym turnieju, mającym upamiętnić zakończenie dwudziestego czwartego tomu wydawnictwa, które oni właśnie — poeci polscy — za swój organ uważać przedewszystkiem powinni.

#### WARUNKI KONKURSU.

Cykl zawierać ma najmniej trzy, najwyżej sześć nigdzie dotąd nie drukowanych **sonetów**. Termin nadsyłania utworów **20 listopada 1913 roku**. Konkurs

rozstrzygnięty zostanie przed 15-yim grudnia tegoż roku.

**Nagroda pierwsza rubli sto (koron 250). Nagroda druga rubli piędziesiąt (koron 125).**

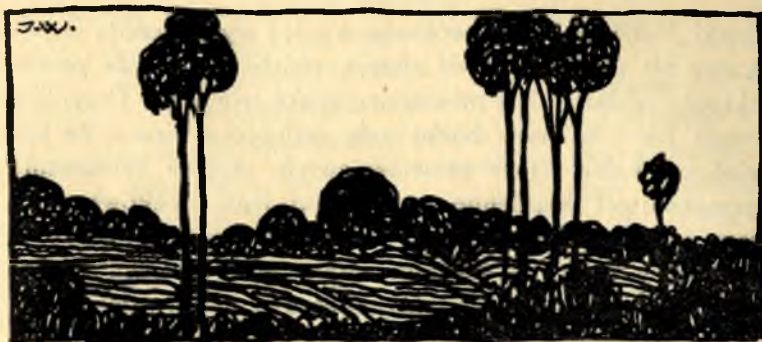
Sonety powinny być pisane na maszynie lub przepisane wyraźnie ręką obcą i zaopatrzone w godło, powtórzone na zapieczętowanej kopercie, zawierającej nazwisko i adres autora. Nadsyłać je należy do Redakcji „Sfinksa“ (Żórawia 18 w Warszawie).

Nagrodzone sonety ogłoszone zostaną w styczniowym zeszycie „Sfinksa“, stanowiąc poza tem własność autorów.

Sąd konkursowy tworzą: *Antoni Gawiński, Władysław Kłyszewski, Józef Kotarbiński, Jan Lorentowicz, Ignacy Matuszewski, Wacław Orłowski, Władysław Rab-ski, Adam Grzymała-Siedlecki, Antoni Sygietyński* i redaktor „Sfinksa“ *Władysław Bukowiński*.

Wszystkie pisma polskie prosimy o powtórzenie niniejszej odezwy.





KAROL KWIECIŃSKI.

## PLASTYCZNE PRZEDSTAWIENIE ROZWOJU DRAMATU.

Dwa potężne pagóry Bałkanu wynurzają swe leniwe czuby z siniego starodrzewu. Jeden, skąpo uwieńczony przymgloną zielenią szeroko rozstawnych krzewów, pogodnie uśmiecha się potoczystą kaskadą winnic do mrocznego sąsiada, nastroszonego gęstwą drzew. Z podnóży gór-opiekunów wychyla się starohelleńska wioska, karmiona ich uśmiechem i zadumą. Oparta trwożnie o skalne stocze ciemnego mruka, spina się pałakowatemi mackami winnych latorośli po barkach łysawego życziwca, którego dziś spowił jakiś sztywny smutek — choć słońce technie jeszcze żarem wcale niejesiennym, choć niezwyčajne okrzyki wesela dolatują w głąb jego zaciszy od dołu, ze wsi. Z krasy dojrzałości obdarli go niewdzięczni wieśniacy, aż wyłysiał ze zmartwienia. Wyraźne szczyrby tarasowo porysowały mu starczą czaszkę. — Było to po winobranii. I cieszył się ludek z tego, co uczynił; niepomny, że skoro

boski Heljos skieruje swój wóz wyżej i wyżej, pójdą w pokorze bić pokłony przed ziemią-próchnicą i czoła potem skropią podartą dziś na starcu perukę winorośli. Przyjdzie czas! Lecz na teraz bodaj tyle zadośćuczynienia, że kozioł-zuchwalec, który za wiosnianych czasów tylokrotnie przeskakiwał kamienne szamerunki jego stożkowego hitonu i co najzieleniejsze pącze-szmaragdy z szat mu obgryzał skwierczy teraz na wolnym ogniu pod czujnym okiem starego dziada-śpiewaka: Dyjonizosowi na chwałę, winiarzom na pożytek, wszystkim innym kozłom na postrach i przestrozę. Och, jak nierozumne zwierzęta! Oto co najzłośliwsze już wiszą na grzbietach wiejskich młokosów, natrząsających się z nich jeszcze po śmierci; a co rok coraz to nowy przybywa. O boże Dyjonizosie, chwała ci! Tak w ciszy ledwo słyszalnym poszumem jesiennej pieśni rozpamiętywał i modlił się górski starzec, przerywając sobie nasłuchiowaniem—co też dzieje się w dole? A tam młodzież dokazywała: płasy i śpiewy—to poważne, rozkoszne, to znów namiętne, rozpasane... a flet przenikał, zawodził... Przebrała się miarka u młodzi—aż sam bóg posłyszał wesele: bo wysłał od swego orszaku w gońce brodacza-satyra, by podpatrzył z za gęstwy leśnej, jak go czczą ochoczo winiarze — i wracał z radosną wieścią. Stary zaś śpiewak-dziad zadumał się przy ognisku. Nie widział młodzianów, tryskających życiem, pomazanych oliwą; ani gibkich dziewic w nieprzepasanej bieli, ani mężów, opartych na dzidach, giestykujących żywo... Przeczul za lasem, za górą winną tryumfalny korowód boga — i w tęsknym upojeniu pieśń mu składał. A gdy po obfitej uczcie, gęsto zakrapianej zeszłorocznym winem, lirę swą lubą w rękę znalazł—nie dojadł, nie dopił—i zanucił bogu dytyramb. O czym nie śpiewał! O ziemi nierodzajnej i winorodnej, o bożych posłańcach satyrach, o samym Dyjonizosie: jak z dworem rozpustnie pijanym—hen, za górą,



za lasem, wśród śpiewów i muzyk, zgiełku szalonego ludy i ziemie nawiedzał; a gdzie zstąpił—wyrastało błogosławieństwo i wesele.

Spoczęły nieruchomo żywe dziewice na twardych piersiach młodzianów; pograżyli się w zadumie wsparci na włóczniach mężowie: starzec recytował pieśń... A skończywszy o Dyjonizosie, prawił cudnie o księżęciu zmarłym, który był tak dobrotliwy, jak silny, a maczugę miał od samego Marsa — i wygubił nią wszystkie leśne drapieżce... Śpiew rozпалиł mężów, opartych na włóczniach, i poruszył młodych z nożami za pasem. Znający pieśń potakiwali głosowi śpiewaka. Ten i ów wtórzył z cicha. Aż kiedyś zabrzmiała we wsi podczas Dyjonizjów potężna pieśń chóralna o Herosie tej ziemi...

Lata minęły, wiek minął, a jednak wszystko zostało, jak dawniej. Wieś starogrecka w dole, a nad nią dwie góry winorodne. Jedną sam Dyjonizos założył, tak rozkoszny owoc rodziła. Z wdzięczności przeto wybudowano mu ołtarz, który pieściły swym cieniem młode oliwki — święty ołtarz boga. — Już słyhać! Rozbrzmiewają wydeptane drożynki potoczystych winnic echem coraz to bliższych śpiewów i krzyków, polatujących od wioski. Głosy rosna w święto winobrania. Gromada satyrów niby to zmyka winnicą przed ludźmi co tchu, dudniąc kopytami o ziemię, aż cała podaje się rozkosznem drzeniem; tymczasem przystając, zataczają się upojeni po szeleszczących krzewach i przezierają ku procesji. Wtem powaga wielka opada ich—uczuli obecność silniejszego bóstwa. O dziwo! sam Heros, dobroczyńca kraju, zstępuje wspinałym cieniem ku swym śmiertelnym braciom, aby wziąć udział w dorocznem święcie, nacieszyć się własną chwałą i dobrem, którego dokonał za życia. Pochód gromady tuż! Szamoczą się obdarte winorośle z panami winnic, chwytając gałęzmi za ich szaty święteczne. Napróżno! fala wiej-

skiego tłumu zalewa polanę przyołtarzową. Lecz wprzód, nim krwią kozła zboczy się nóż ofiarnika, przyjm, wielki Herosie, dziękczynienie za zabicie hydry-potwora, od którego niszczał dobytek! Cichnie gwar, przystaje ławą ruchliwa masa—i w śmiejący się błękit greckiego nieba bije głośno łagodna pieśń—czyżby satyrów? Nie, to w kozle skóry odziany chór winiarzy zawodzi błaganie ku dobrotliwemu bóstwu. A Heros, siedząc opodal w majestacie, niewidziany, cieszy się własną chwałą, i uśmiech błogi krasi mu lica. — Patrz! oto kapłan-śpiewak, wzięwszy na się postać jego, prawi zwrócony do chóru: „Jam-ci jest Heros waszej ziemi!“ „Chór na to raduje się:“ „O Zbawco nasz, o Herosie! zniszcz potwora, co nas gnębi; nas i nasz dobytek!“ Inny znowu, hydry postać przybrawszy, stanie słowem i czynem przeciw Herosowi. Nie smućcie się jednak, ziemianie! Hydra legnie u nóg bohatera-boga! Więc chór nuci potężną pieśń pochwalną, zgiełk się wzmacnia wśród tłumnej procesji, ołtarz dymi—to ofiara kozła—Dyjonizje...

Lata minęły, wiek minął—a jednak wszystko prawie zostało, jak dawniej; tylko w miejsce wsi gród warowny wznosił się na stokach winnicy nierodzącej. Gdzie za ludzkiej pamięci bór wawrzynowy porastał, tam bielą się dziś świątyni tympanony, na jońskich filarach oparte. A w dole, poza murami, kędy skalisty spad w urodzajną się ziemię worywał, tam wprawna dłoń kamieniarza Greka wykuła ławy kamienne; półkolem jedna nad drugą—a w okrągłej orkestrze, u ław kolistych podnóża, widnieje ołtarz, całkiem podobny do tego na Dyjonizyjskim pagórku. W basenie amfiteatru dziś ruch i krzątanie się gorączkowe: niewolnicy, rzemieślnicy, obywatele — aż trzech mężów z Rady starszych rozkazuje, bo za dni parę wielkie Dyjonizje, na których miasto wystąpi z potężną trylogią

dramatyczną o dobroczynnym bogu, Herosie tej ziemi, który zwalczył hydrę-potwora...

A za czasów dzisiejszych? Jeśli dotychczas nie istnieje, to pewnie rychło powstanie w mieście owej greckiej zespół dramatyczny, a może i nowoczesny budynek teatralny, zbudowany przez jakiegoś Niemca... I może na inauguracyjnym przedstawieniu ujrzą miejscowi Nowogrecy (tłumaczony najpewniej z niemieckiego) pięcioaktowy elaborat, popołniony na podstawie wszelkich ułamków, zapisków i t. p., n. b. z opuszczeniem chórów na temat powiatowego Herosa...

\* \* \*

Kto zdawał sobie sprawę z wiekowej ewolucji, którą stąpała sztuka dramatyczna od swej greckiej kolebki ku dniom naszym, ten znajdzie w dalszym przedstawieniu to wszystko, co mniej lub więcej wyraźnie jawiło mu się jako konsekwencja w odniesieniu do naszych stosunków, czasów i ludzi: przeciągnięcie jaskrawej linii rozwojowej, coraz to bogatszej w akcję, treść, kostjumy, — swoistej, rozwiewającej się stopniowo w płaszczyznę, z wydatnie znaczącymi pokazowymi etapami, które ku nam nadpływają, zagarniają nas — i w dal popłyną — —

Dotychczas nie było dane polskiej społeczności oglądać greckie początki dramatu, na co już stać takich Niemców berlińskich, czy monachijskich, tłumnie rozkoszujących się wspaniałymi arenami produkcjami Reinhardta. Brak nam na to środków. A może i odpowiedniego przygotowania?

Tak jest, niestety, obecnie.

Jednakże wierzymy mocno, że kiedyś przyjdzie czas, w którym powstanie i u nas amfiteatr, może pierwszy podwawelski — — że kiedyś tłumne kręgi widzów rozle-

ją się szeroko, coraz szerzej, promienną falą naokół w kraj — — że początkowo tutaj będą kosztować wszyscy, spragnieni nektaru żywiącego: legiendarnej prahistorji, rodzinnej polskiej przeszłości, i terażniejszości, i przyszłości słowiańskiej...

„Służba boża“ dramatu, dawana w wielkie rocznice i narodowe święta, przedstawi uroczystemu zebraniu tłumów przeszłość, od Kraka i Wandy po sprawy bieżące, całą prostotę starych legiend, zagadnień, coraz artystycznie i zawiej komplikujących się, aż wyrafinowanych w treści i formie — — —

Zakwitnie na naszym gruncie i zmartwychwstanie jakby grecka tetralogja — — —

Takie optymistyczne horoskopy na przyszłość pozwalają snuć historja-mistrzynie.

Lecz co na teraz? Należy do tej uczyt duchowej przygotować przyszłego widza-uczestnika, dzisiejsze dziecko miasta czy wsi, któremu teatr jest tak obcy, jak oddalona jest jego śpiewanka uliczna od nowoczesnej sztuki dramatycznej, które co najwyżej rozumie i widzi „teatr“ w osobach wybitnych aktorów.

Jak go więc podnieść, podciągnąć z właściwych mu nizin pierwotnej „chóralnej“ pieśni ku wyżynom scenicznej sztuki? A ponieważ stoi dopiero jakby na tym stopniu rozwojowym dramatu, na którym dają się widzieć dopiero pierwsze zawiązki akcji — przeto jak odbyć z nim konieczną lekcję poglądową? Jak owe kolejne etapy: 1) pieśni samorodnej, solowej, postępującej w 2) chóralną, procesyjną, uruchomioną, a potem 3) rozkładającą się w akcję, wyrosłą na krótkich procesyjnych postojach chóru, z jego wybitnym współdziałaniem; wreszcie 4) nowożytnego dramatu, pozbawionego chórów i znów unieruchomionego, ale już w specjalnie na to przeznaczonym budynku; 5) wykończonego ostatecznie w uroczyste mi-

sterjum narodowe czy ogólnoludzkie — jak to wszystko mu uzmysłowić, uplastyczyć?

Pytanie dotychczas w praktyce bez odpowiedzi.

Odpowiedź zaś nasza, jako pierwsza w tym rodzaju, nie przedstawi ceny jakiegoś oryginalnego elaboratu. Będzie tylko specjalnie wykoncypowanym zestawieniem i zharmonizowaniem rzeczy znanych, istniejących. Jest doraźnym zapełnieniem przykrej, niezauważonej luki; przykładem w pierwszej linii, dającym się wykonać łatwymi środkami na każdej amatorskiej scenie...

Poszczególne też fazy przytaczanej odpowiedzi-przykładu będą nadto posiadały, prócz swojskości i prostoty, tożsamość treści: to w tym celu, aby widz, wolny od wytężenia uwagi w kierunku opanowywania fabuły, mógł skupić cały swój zmysł spostrzegawczy, śledzenie zmian formy, w jakiej znajoma osnowa będzie mu każdorazowo podawana. Tą drogą będzie musiał poznać odśrodkowość, dynamikę akcji, wprost wyrrywającej poszczególne cząstki skupionej dotąd pieśni chóralnej na rzecz czynnie występujących już nie chórzystów, lecz aktorów.

Całość zaś powyższa będzie się obracała u nas w zakresie powszechnie znanej, a już przebrzmiałej formy poetyckiej, ludowo-artystycznej ballady: śpiewnej — bo stroficznej, krótkiej — jak na pieśń pierwotną przystało, „cudownej“ w treści. Pieśń ta nigdy nie będzie wyłącznie opisową — a opisami zostaną jedynie miejsca martwe, nie dające się w żaden sposób ożywić, czy zastąpić. Ilokrotnie natomiast wystąpi w toku fabuły działająca osoba, wszystko, cokolwiek od niej będzie pochodziło, uwydatni się za pomocą mowy wprost \*).

---

\*) Pierwotny „składacz“ długo jeszcze nie będzie dokładnie odróżniał dwu form: i nieraz jeszcze bohater sam powie o sobie w 3-ciej

Nasz wybór padł na jedyne w swoim rodzaju arcydzieło młodego szeregowca wileńskiego romantyzmu: Al. Chodźki „Maliny”—żywcem prawie przeniesione do poezji z ust ludu; zwrotkowe (15 strof), budowane sposobem dIALOGU, podzielone jakby na dwie części (1—8—15): Pierwsza—o dwu siostrach, wysłanych przez matkę i rycerza na maliny. „...Która więcej malin zbierze, tę za żonę pan wybierze...” Siostra siostrę z zazdrości morduje. — W części drugiej następuje kara za zbrodnię: synek morderczyni wycina z wierzby, wyrosłej na miejscu zbrodni, fujarkę, która wyjawia straszną tajemnicę.

Przedstawienie się zaczyna. Więc jako reżyser stwarzam bardzo łatwą Część I.

Kryjąca w sobie dynamikę dIALOGU, okraszonego suto partjami reżyserskimi, spoczywa pieśń nieruchomo w osobie śpiewaka, wtórzącego sobie niegdyś na formidze, opartej o lewą pierś; dziś siedzącego z lirą na kolanach. Aojda-dziad recytuje. Wygodną dlań jest liryczna forma zwrotek, na których załomie odpoczywa, dając możliwość wzruszonym słuchaczom potakiwania ostatniemu wierszowi: stąd refren! Nasza Część I. graniczy wprost z żywym obrazem. Na tle wioski i lasu, przy zachodzie słonecznym (wśród stopniowo zapadającego zmroku), grupa wieśniacza otacza lirnika, recytującego całą balladę. Odpowiednimi gestami i ruchami usiłuje on ilustrować treść recitanda — jakby instruktor sceniczny niedoświadczonych jeszcze, a podatnych amatorów, żywo zainteresowanych opowiadaniem. Od czasu do czasu, szczególnie przy mowie wprost, lub w partjach dialogowych, uderza dla efektu w struny i wtedy śpiewnie modeluje recitando.

---

osobie; rychło jednak zapanuje zasadnicze zróżnicowanie, a sporadycznie napotymane przestępstwa będą tylko dowodem istotnie ludowej pochodności utworu.

Lecz niebawem ta sama pieśń poruszy się z martwego dotychczas punktu: przyswojona przez ogół, w zbiorową, chóralną. Niesiona na ustach procesyjnego korowodu nabierze właściwego tętna i pełni życia.

A jak rodzajną była ta chwila, kiedy po raz pierwszy świadomość człowiecza drgnęła w małopoludzie, tak podobny moment, błogosławiony w życiu dramatu, stanowi ów błysk twórczego gieniuszu: Niech postać z pieśni, której własnością jest mowa, wprost wygłosi ją sama od siebie — niech słowo poetyckie stanie się ciałem dramatycznym. Tak powstałi pierwsi aktorzy. Tu źródło dramatycznej akcji. Odtąd poczęła się rwać okrągła śpiewność zwrotek: bo rola przybysza nieraz zaczynała się od środka strofy, stanowiącego kulminacyjny punkt melodji. A jak można pieśń niedopowiedzieć: arję urywać? Więc chórzyci spuścili z tonu: dosłownie—na co czekali tylko aktorzy... Jeden i drugi wyręczał chór stopniowo, tak, że wszzechwładcy pieśni zeszli wnet do skromnej roli statystów, którym wolno było tylko przypatrywać się i dziwować akcji, lub co najwyżej wykonywać pieczę nad drobiazgami t. zw. dziś reżyserji. Zmiana więc na całej linii: pieśń, wyzbywając się swej istoty—melodji, cofa się do pierwotnego recitativu, rozdzielonego między kilku aktorów, otoczonych chórem. W poszukiwaniu za analogją zatrzymujemy się wobec przechodzącej dzisiejsze, procesji n.p. Bożego Ciała, lub bogatego pogrzebu według obrządku greckiego: z postojami, celem odczytania ewangelji, przy użyciu całego ceremońjału i aparatu liturgicznego—aby tylko zaznaczyć specjalne kostjумы celebrantów, wiodących za sobą orszaki chórzystów.

Tak też pojmuję i swoją Część II-gą:

Uroczysta procesja wieśniacza zatrzymuje się na jakimś wiejsko-leśnem rozdrożu dla odbycia, odegrania

obrzędu. Tekst ballady zostaje nietknięty; ujmujemy go tylko w dwie odsłony.

Na scenę wchodzi wolno, ławą, chór wieśniaków. Są to statyści z poprzedniej Części I-ej. Wiedzie ich znajomy lirnik, chorifaios. Przy miarowym takcie zbiorowego recytawu pierwszej zwrotki „Malin“ zataczają krąg. Na widocznym miejscu u chóru staje wieśniaczka z dwiema córkami (późniejszymi Balladyną i Aliną).

(Zwrotka 1). „Przez litewski łąn  
Jedzie, jedzie pan;  
Przed nim, za nim jego cugi,  
W złocie, w srebrze jego sługi.  
Jedzie w gościnę“. (bis)

Po cięciu łuku chórzystów stąpa ku nim urodziwy młodzian, widocznie przebrany za rycerza (Kirkor) w orszaku kilku parobków. Chór recytuje dalej:

(2). „Przyjechał na dwór  
Do matki dwóch cór“;

i milknie; rycerz zaś (z akompanjamentem liry chorifajosa) zwraca się do wdowy:

„Matko, matko, masz dwie róże,  
Obie krasne, obie hoże —  
Daj mi jedną z nich“. (bis)

(3). Dwa im dzbanki daj,  
Niechaj idą w gaj:  
Która więcej malin zbierze,  
Tę za żonę pan wybierze, \*)  
Ta będzie panią“.

---

\*) Sam o sobie w 3-ciej osobie; zamiast: wybiorę.



Cały chór kładzie na to swoje placet refrenem:

„Ta będzie panią“.

Któryś z nich podaje siostrom dzbanki; nikną w kulisach, podprowadzone przez lirnika. Konieczną w tem miejscu pauzę wypełni świetlny efekt zachodu, wynikający z dalszej treści chóralnego recitativu. Śpiewacy utworzą dwie grupy, bliższą i dalszą lasu, a bieżącą zwrotkę (4) podzielią między siebie. Dalsi zwrócą uwagę, że:

- (4). „Słońce się z za drzew  
Rumieni, jak krew,  
Krwawą łuną gaj ozłaca“;

bliżsi zaś:

„Z gaju starsza córka wraca,  
A młodziej niema“. (bis)

Wtem lirnik tajemniczo zauważa i pokazuje:

- (5). „Na jej czarnej brwi  
Niby kropla krwi“.

reflektuje go jednak sąsiednia grupa (bliżsi):

„Któż wie, z jakiej to przyczyny:  
Od maliny lub kaliny,  
Może to nie krew“ —

refren powtarza grupa dalsza. Pauza. Wchodzi Balladyna. Trzy myśli odpowiednio ilustrowane składają się na jej zwrotkę (6):

„Oto malin dzban;  
Gdzie mój mąż i pan?“

Siostra już nie wróci z gaju,  
Może wpadła do ruczaju,  
Może pożarł wilk“.

Pauza. W myśl biegnącej treści rycerz wysyła sługi na (bezsukteczne) poszukiwania (za nimi może odejść i matka). O tem wszystkim informuje nas chór (7). I, jak w każdej baśni, położenie kropki wyraża się stereotypowem: „żyli, żyli, kawę pili“... — tak i tutaj pan

(8). ... Szczęśliwy z żoną szczęśliwą,  
... Długie lata żył“.

Na tem kończy się pierwsza odsłona balladycznego ewangeljum. W trakcie recytowania „ostatniej“ zwrotki procesja gotuje się w dalszą drogę. Na czele postępuje Balladyna z Kirkorem, małżonkowie w otoczeniu sług; za nimi dwór z chorifajosem.

Odsłona druga:

Ponieważ procesja odbyła poprzednio tylko krótki przystanek i niebawem takż sam urządzi, scena zostanie prawie ta sama; tylko tło ulegnie przybliżeniu (zapomocą obniżenia i pewnego przesunięcia kurtyny). A że nowe miejsce zatrzymania się może stanowić kres procesji, lub główny cel pielgrzymki, przeto dla zaznaczenia jej obrzędowego charakteru i umoralniającej tendencji misterjum — zatrzymamy ją u posągu bóstwa (Światowida). Chór wchodzi, jak poprzednio. W takt recytowanej zwrotki 9-ej ujrzymy nową postać, synka Balladyny, wbiegającego na scenę od strony lasu z dudką w rękę:

(9). „Ach mamó, mamó!“ (bis)

(10). „Otóż dudkę mam“ — — —

wygłasza całą zwrotkę 10-tą. A wszystkowiedzący chorfajos skierowuje do matki refren: „Słuchaj piosenki!”

(11). „Graj, Michasiu, graj!” —

mówi matka.

I zaczarowana fujarka (ustami dziecka) wyjawia zbrodnię (11 i 12):

„Jak dziś kwitnie maj,  
Tak nad róże, nad bławatki,  
Dwie nas kwitło w domu matki;  
O moja wiosno!” (bis)

(12). „Ach, lecz siostry nóż  
Skosił różę róż!  
Pod kurhanem me mieszkanie,  
Dzika wierzba na kurhanie;  
O moja wiosno!” (bis).

Przed refrenami krótka pauza — westchnienie. Tajemnicza groza oblatuje obecnych. Przeczuwają, że stanie się coś niezwykłego. Wrażenie, towarzyszące Grekom, zebranych w teatrze w chwili, kiedy bogowie skierowali nad niego lot żórəwi, celem odkrycia i ukarania morderców śpiewaka lbikusa, staje się udziałem naszej słowiańskiej gromady. Zbrodniarka próbuje jeszcze ratunku:

(13). „Dziko, synu, grasz!  
Skąd tę dudkę masz?”

lecz nic już jej nie ochroni:

„Dudkę tę skręciłem w gaju,  
Z dzikiej wierzby przy ruczaju,  
Przy krzaczku malin.” (bis)

Karząca ręka sprawiedliwości bożej dosięga winowajczynię.

Chór objaśnia (14), co się na scenie dzieje:

„Pani pobiadła,  
Jak stała, tak padła.“

— — — — —

Misterjum ma się ku końcowi. Słudzy wnoszą martwe zwłoki, za którymi postępuje żałobny małżonek, potem chór — a w miarę oddalenia się pogrzebowego korowodu, ginie ostatnia strofa, jakby grobowe echo pierwszej:

(15) „Przez litewski łąn  
Jedzie, jedzie pan;  
Lecz w całunach jego cugi,  
Lecz w żałobie jego sługi,  
Przy trumnie pani“. (bis).

\* \* \*

Wdzięczne zabiegi wierszowe młodych romantyków stały się szczeblem do sławy grodu, podścieliskiem dla siedzącego na przeciwległym słońcu sztuki, dla sztuki boga poezji, Słowackiego. Upodobawszy sobie maluczkich braci po piórze, wyciągnął swą twórczą dłoń ku ich dziedzinie i wysnuł bogaty szereg pereł, różnej wielkości, nanizanych na nić ludowości i prahistorji: — — „Balladynę“, „Lillę Wenedę“ — — Pierwsza z nich, ostatni wyraz nowożytnej sztuki dramatycznej, stanowi przebogatę końcowe ogniwo — naszą Część Ill-cią.

I tu byłby kres naszej pracy—gdyby nie nadmiernie wybujała fabuła tragiedji, przygniatająca swą rozłożystością obie Części poprzednie i konsekwencja, płynąca z obo-

wiązku przeprowadzania „przykładu“ eliminowania zbędnych partji, aktów całych, z „Balladyny“. Owo suche, lecz konieczne okrawywanie i wystrzyganie odsłon dla Cz. III-ej przyniesie nam w rezultacie duży zysk.

Wiadomo, że poeta zaczerpnął do swego arcydzieła wiele z szekspirowskiego „Snu nocy letniej“, bezwiednie zaś to i owo z „Makbeta“ i „Króla Lira“. Na chwałę jednak „Malin“ podnieść należy, że w ręku Słowackiego tyle przybrały na mocy i dostojności, iż wyruszyły na skuteczny podbój królewskich epizodów z Szekspira.

W odległym wspomnianiu fabuły „Balladyny“, giną one i rozplývają się niby w krwawym тумanie: zabójstwo Gralona, nawet Grabca; mętnieją też dalsze koleje Kirkora. Jedynie osnute na tle rodzimej ballady efekty jaśnieją świeżością i mocą.

Wydobywając z owego splotu składowych grup tragedji grupę naszą, łatwo zauważymy, że niektóre z obcych postaci tak nieodłącznie sprzęgły się z naszym wątkiem, iż stanowczo nie pozwalają na redukcję w kierunku prostoty pierwotnego, chodźkowskiego tekstu. Nie da się np. wykreślić ów przybyły z szekspirowskich krain Wiking na słowiańskim dworze, Kostryn, którego stosunek do grafini musi pozostać dla nieprzygotowanego widza nieumotywowaną zagadką. Wypadek to jednak odosobniony.

W „djalogowanej balladzie“ Słowackiego uległ też zasadniczej transformacji rozbrajający swą prostotą motyw z „Malin“ chłopaczka z cudowną fujarką. Rozkapryszona bowiem wola poety wtrąciła go w objęcia fantastycznego strumienia „Snu letniej nocy“— strumienia, raczej jeziora, nad którym ulatuje tęskna Goplana ze Skierką i Chochlikiem, kędy rozwala się Grabiec, były kochanek Balladyny. Ten właśnie Grabiec, twór najzupełniej nowy, ma

spełnić rolę palca Sprawiedliwości: przy pomocy śpiewu Chochlika wyjawi zbrodnię podczas uczty w zamczysku zabójczym. Widział zaś zabójstwo jako obecny, lecz dziwnie niemy świadek; bo zamieniony przez rozżaloną Goplanę w wierzbę. Całe bogactwo, chaos szczegółików, które po uproszczeniu musimy dopiero wygładzić w całość. Na szczęście Gopłana nie stanie na przeszkodzie w zaanektowaniu do naszych celów Grabca wraz z jednym z wodnych duchów. Trzeba będzie przeto dostosować tylko zewnętrzną formę Grabca — wierzbę i eterycznego Skierkę do „Trylogji Malin“, możliwie bez obrazy stanowiska, nakreślonego mu przez poetę.

Więc najpierw Skierka: Lotny wesołek bagien, posłuszny kaprysom pani jeziora, wyglądałby po jej usunięciu, jako ekscentryczny deus ex machina.

Uprościmy go zatem do niewymagającej umotywowania pozycji aniołka-stróża, amorka-fatum, sprowadzającego dobrego rycerza pod strzechę wdowy z pięknymi córkami. Odegra więc rolę jednego z tych licznych duchów, których tłum unosi się nad balladami.

Grabca natomiast musimy poddać zasadniczej metamorfozie reżyserskiej. Niech nam poeta grzech daruje! Bo dla dociągnięcia tego rubachy do naszej zlewnej całości, przekształcimy go w znanego z Części poprzednich lirnika, którego skierka-pacholę za rękę wiedzie. Przystępstwo takie nie będzie na scenie widoczne: z powodu krótkości odsłonu, która nie pozwoli mu rozgadać się i zdradzić. Ujrzymy przeto najpierw w scenie morderstwa siostry nie Grabca-wierzbę (gdyż w naszym wypadku zabrakłoby takiemu dziwu uzasadnienia), lecz uspionego pod drzewem słowiańskiego lbikusa z czuwającym przy sobie pacholęciem. Potem, na uczcie w Kirkorowym dworze, dokąd przyjdzie jako rewelator tajemnicy, zajmie poczystne miej-

sce wśród wielmożów, w myśl tradycji o dawnym wieku złotym dziadów, kiedy to „dziad z królem do stołu zasiadał...“—tylko tu, podchmielewszy sobie winem, zmienił swe dawne, uroczyste zachowanie się w rubaszne.

Po tych przeróbkach Część III jest gotową:

Odsłona pierwsza: w myśl pierwszych zwrotek „Malin“ zawiera przybycie Kirkora do chaty wdowy (z „Balladyny“ aktu 1-go, sceny 3-ej z opuszczeniem końcowej partji Aliny: o romansach siostry).

Odsłona druga: Scena zabicia siostry w lesie—z aktu 2-go, sceny 1-ej.

Odsłona trzecia: Powrót Balladyny z lasu z aktu 2-go, sceny 2-ej.

Odsłona czwarta: Kara. Zjawienie się widma Aliny podczas uczty — końcowa część aktu 4-go, sceny 1-ej, od miejsca, w którym Grabiec odbiera honory króla.

Tylko tak, a nie inaczej przykrojone sceny wytrzymają fikcję Grabca-lirnika, który swoją osobą zwiąże powyższe odsłony w przyczynowo zespoloną całość. Coś ponad to—a złudzenie pryśnie.

\* \* \*

Kończąc pracę, nadmieniam, że, uważając, ją za pierwszą w tym rodzaju, nie tyle kompozycyjną, ile popularyzującą, radbym ją przeznaczył do praktycznego użytkowania szkół, któreby ze scenicznego przeprowadzenia tej rzeczy najwięcej odniosły pożytku. Wszelka podobna trylogja, czy teatralogja, koniecznie poprzedzona „objaśniającą przedmową“, zawsze będzie stanowiła utile cum dulci dla mało wykształconego, a potrzebującego wykształcenia miasta czy wsi. Wchodziłaby zatem w zakres pracy narodowej, popularyzacyjno-oświatowej.

Przykład zaś sam, „Trylogja Malin“, powinienby zachęcić swą nowością, skuteczniej może niż niejedna bezsensowna ankieta „literacka“, artystę-kompozytora, któryby na chwałę własną i pożytek nie tylko najbliższych stworzył oryginalną trój- czy czworo- całość, wartą — przy danych warunkach tu w kraju — Reinhardtowskich produkcji.







TADEUSZ MIŁOBĘDZKI.

O PODNIESIENIU

NASZEJ SZTUKI

GRAFICZNEJ.

Od lat kilkunastu zanika u nas, nawet wśród ludzi skądinąd wysoce wykształconych, znanstwo rycin i wogóle zamiłowanie do sztuk graficznych.

Nie bez winy jest tutaj krytyka literacka, często pełna bezpodstawnej chwalby dla książek czy atlasów z bardzo przeciętnymi, miernymi cynkotypjami, lub dalekimi od poprawności litografiami, i niesłusznie uważająca owe ryciny za szatę, stronę *zewnątrzną* wydawnictwa. O wydawcach zaś niema co i wspominać: przeważnie dbają oni o taniość reprodukcji i rzadko kiedy

wypuszczają ze swych oficyn ryciny, któreby nie były robione sobotnim sztychem na niedzielny targ.

Doszło do tego, że młodsze pokolenie zupełnie nie wie, czego można pod tym względem od wydawcy żądać i wymagać, bo nie ma wzorów, nie zna dobrych rzeczy do porównania.

Gdyby choć cynkotypja była u nas bez zarzutu i stała na poziomie doskonałości wydawnictw zachodnio-europejskich! Niedawno, zrażony zamazanymi rysunkami jednej z ilustracji polskich, zwróciłem się do jej redakcji z propozycją, iż będę drożej prenumeratę opłacał, bylebym pierwsze, więc czyściej odbite egzemplarze pisma otrzymywał. Odpowiedziano mi, iż płonne są moje nadzieje, gdyż wina to nie kliszy, lecz... papieru. Nie mam zamiaru rozstrzygać w tej chwili, czy to wina papieru, czy nie papieru, dość, że prawdziwą można mieć przyjemność w przeglądaniu dawniejszych, z przed czterdziestu lat, roczników naszych pism ilustrowanych, kiedy ryciny współczesnych pism obrazkowych i książek, również mapy atlasów, w porównaniu z tamtymi dawniejszemi, bardzo smutne wywołują wrażenie.

A przecież dążyć powinniśmy do podniesienia i pod tym względem poziomu naszej kultury: wszak w rycinie dobrej artystm wykonania szczytniej uwypukla jej myśl, ideę.

Tylko bowiem inteligentny, posiadający wysokie ogólne wykształcenie artysta potrafi ideę górną, myśl wzniosłą godnie w symbol-rysunek ująć: nawet bardzo utalentowany malarz przyrody, lecz ignorant, niewiele może dać tu ze siebie. Tylko psycholog-artysta jest w stanie odtworzyć w rysunku szereg po sobie następujących zdarzeń, wzruszeń psychicznych, jest w stanie być wyborynym ilustratorem. Znów dla niejednego inteligenta stanowi już dziś niezbędną potrzebę ducha, a nieraz rozkosz niepomierną mieć wyrażone poruszenia duszy ludz-

kiej nietylko w dźwięku słownym i muzycznym (tu rola literatów, muzyków), lecz i *wyobrażone* w postaci, którą w każdej chwili można mieć pod ręką, więc w rycinie (tu rola artysty-grafika). Albowiem zdolność do wyobrażeń w rysunku osób, rzeczy, czynów, myśli jest tak zasadniczym a pierwotnym atrybutem duszy ludzkiej, że winniśmy zdolność tę hodować, rozwijać, podnosić, kształcić. Znane są przecież rysunki na kości z czasów, kiedy ludzkość jeszcze stała na bardzo niskim stopniu kultury, i współczesne rysunki małych dzieci ludów kulturalnych. Wreszcie powinien nas skłaniać ku grafice motyw czysto społeczny: wszak technika graficzna pozwala ujęte w linię i światłocień piękne nastroje przyrody, wzniosłe myśli-symbole i niezwykle psychologiczne momenty popularyzować w setkach tanich artystycznych odbitek. I tu właśnie znajdują upust dla swych dążeń obywatelskich i artyści-graficy i miłośnicy grafiki: rozwój grafiki—to demokratyzacja sztuki.

Na szczęście patrzymy w tej chwili w Warszawie na początek lepszej przyszłości dla pełnej wzniosłej tradycji a chylącej się dziś ku upadkowi grafiki polskiej. Bo oto pół roku temu garstka naszych artystów grafików zespółiła się w celu posiadania wspólnych pras, kamieni i innych przyrządów, nieraz drogich, a niezbędnych do rytowania i odbijania rycin; do artystów przyłączyli się liczni już dziś miłośnicy, tworząc wspólne Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Graficznych.

Na tym zaczątku wspierają się dziś nasze nadzieje.

Niech Towarzystwo urządza, tak jak to już poczęło czynić, wystawy z katalogami rozumowanymi, objaśniającymi i kształcącymi ogół, wzorem katalogów Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości (vide wystawy w domu Baryczków); niech ogłasza w dalszym ciągu konkursy gra-

ficzne \*); niech zawstydza licznych wydawców pism i książek, a liczniejszych jeszcze posiadaczy zbiorów; niech nas tak poucza i urabia, żeby wszystkie znaki graficzne naszego życia (exlibrisy, okładki, plakaty, znaki księgarskie, drukarskie, sklepowe, fabryczne etc.) dawały jasne, piękne wyobrażenie myśli, celu, w których były wykonane.

Nakreślony przed chwilą, o ujęty już w zatwierdzone statuty schemat działalności Towarzystwa Przyjaciół Sztuki Graficznej jest tak obszerny, iż należałoby spojrzeć też na podstawy realne tego towarzystwa, jak się rządzić w Towarzystwie, żeby obie wymienione grupy, na pozór sprzeczne (artystów-twórców i miłośników-odbiorców) z pożytkiem dla sprawy szerszej w jednym zespole pracować mogły.

Z góry odpowiem, iż nie widzę tu przeszkód w osiągnięciu harmonji: *do, ut des*. Albowiem tak sobie wyobrażam zaspokojenie przez Towarzystwo mych potrzeb, jako miłośnika grafiki. Więc naprzód da mi Towarzystwo poza wystawami—muzeum, w którembym znalazł do oglądania zbiór rycin artystów krajowych i zagranicznych; poza tem—bibliotekę, złożoną z pism i książek ilustrowanych, w szlachetnem zrozumieniu tego słowa, a przeto nie takich, któreby były ozdobione miernemi, a dziś tak rozpanoszonemi fotocynkotypjami; wreszcie — kompletną rejestrację utworów grafików, choćby tylko polskich, która mnie zachęcała do zapoznawania się z nowymi utworami i do ich nabywania. A jako przyrodnik, rozszerzam jeszcze zakres zadań Towarzystwa na artystyczne ryciny i mapy w książkach i atlasach.

---

\*) 1 lutego 1914 r. otwiera Towarzystwo Przyjaciół Sztuki Graficznej w Zachęcie wielką wystawę graficzną, poświęconą twórczości artystów polskich od roku 1860; w związku z nią organizuje Drugi Konkurs Graficzny polski imienia Henryka Grohmana z sześcioma nagrodami za akwafortę, drzeworyt i litografię.

Ponieważ każdy z artystów-grafików jest tem samem miłośnikiem swej sztuki, więc w wyszczególnionych przed chwilą zadaniach Towarzystwa mamy tę wspólną wspólność interesów, ów cement trwałe, jednoczący obie strony.

Z porządku jednak rzeczy artyści-twórcy mają również swe wyłączone cele, dla których potrzebują pomocy od miłośników. Nie mam tu na myśli nabywania utworów artystów przez miłośników, bo jest to sprawa prywatna oddzielnych jednostek, aczkolwiek nie miałbym nic przeciw temu, aby biuro Towarzystwa było pośrednikiem w sprawach kupna i sprzedaży, t. j. żeby ogół stowarzyszonych z tych transakcji korzyść jakąś osiągał. Natomiast myślę przedewszystkiem o pomocy materialnej, którą trzeba dawać artystom na utrzymanie niewielkiego mieszkania z prasą, kamieniami i innymi droższymi przyrządami, niezbędnymi do wykonywania i odbijania rycin; dalej myślę też o pomocy na organizację wystaw, konkursów, a nawet (nie jest to dziś rzecz błaha) na reklamę. Wydatek na to wszystko stanowi kwotę tak poważną, iż trzeba byłoby bardzo wielu członków-miłośników, żeby nie zbrakło środków na cele przedtem wymienione, bliższe ogółowi miłośników, t. j. na muzeum, czytelnię, rejestrację i kustosza.

Przytem wciąż stoję na tem stanowisku, iż dobra organizacja Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Graficznych, to jego żywotność; zaś żywotność, to promieniowanie na zewnątrz, to rozwój ryciny, postęp sztuki, wiedzy, a stąd i uszlachetnienie szerokich kół.

Czy stać materialnie Towarzystwo Przyj. Szt. Graf. na osiągnięcie pełni swych zadań?

Stanowczo nie stać! Boć długo jeszcze (oby jak najkrócej!) nie będzie ono liczne.

Mamy jednak instytucje, które posiadają zbiory rycin, map, nie mówiąc już o książkach i atlasach: to biblioteki — w Warszawie: Publiczna, Zamoyskich, Krasińskich. Nie rozpraszać tedy środków, skupiajmy je dla lepszej przyszłości.

Mogłoby np. Towarzystwo Przyj. Szt. Graf. subsydować na ściśle omówionych warunkach jedną z tych bibliotek; artyści-graficy ofiarowaliby przytem obowiązkowo po jednym egzemplarzu swych rycin, map, albumów i książek ilustrowanych wybranej bibliotece, jako swemu muzeum. Za to biblioteka pozwalałaby członkom Towarzystwa Przyj. Szt. Graf. oglądać u siebie na miejscu ryciny, mapy, albumy i książki.

Można np. czytać w bibliotece „Historję Francji“ Guizota; można ją jednak wziąć w celu przejrzenia przepysznych drzeworytów Neuville, którymi książka ta jest ozdobiona. A „Pan Tadeusz“ z Andriollim, dawny „Tygodnik Ilustrowany“ z Juljuszem Kossakiem i setki innych wydawnictw!

Słowem mniemam, iż jest możliwa do urzeczywistnienia taka organizacja Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Graficznych, przy której będzie ono żywotne i będzie należycie promieniowało, t. j. rozbudzi wśród ogółu znawstwo grafiki i zamiłowanie do niej i wpłynie na podniesie się w Polsce tej sztuki. Tego mu z całego serca życzyć należy.

Zdałoby się nam też rozpowszechnianie w odlewach znakomitszych rzeźb. Ale na razie „jeszcze nie jest, jeszcze nie jest panna młoda gotowa“: po rozwinięciu zamiłowania do ryciny, przyjdzie czas i na zamiłowanie do rzeźb.



WILA ZYNDRAM-KOŚCIAŁKOWSKA.

## Z BELETRYSTYKI WŁOSKIEJ.

### V.

Zwróćmy się do innego, równej artystycznej miary, lecz do odmiennych celów dążącego, odmiennymi artystycznymi środkami posługującego się pisarza, wodza, tak jak i d'Annunzio, współczesnej beletrystyki włoskiej.

„Antonio Fogazzaro — pisze o nim Artur Graff — przekonał Europę, że nowe włoskie odrodzenie nie polega na samej zmysłowości, rozwiązłości i wybrykach fantazji“.

Zapewne w słowach tych krytyk dał ujście swej znanej do Gabryjela d'Annunzio niechęci, niemniej trafnie zaznaczył różnice, istniejące pomiędzy dwoma wodzami.

D'Annunzio porusza namiętności, działając na wyobraźnię przez zaostczenie zmysłów i nerwów. Fogazzaro porusza idee, wyobraźnię oblewa zdrojem wrzących, lecz zawsze czystych i podniosłych uczuć, zmysłowość bierze na wędzidło wolnej woli, odpowiedzialności przed społeczeństwem, lecz zwłaszcza już przed samym sobą: człowieka nie w ułamkowym podnieceniu, lecz całego stawia

na gruncie społecznym, szanuje, egzaltuje nawet indywidualność, piętnuje egotyzm i sobkostwo. Sensacjom i nerwom przeciwstawia głębię uczucia, przebujałości—dogmat.

Pierwszy, z całą fugą wielkiego bądź co bądź i niezaprzeczonego talentu, wnosi do literatury rozluźnienie i znieprawienie nawet artystyczne. Drugi—tężyznę i zbudowanie, bynajmniej nie dydaktyczne, lecz żywe i zamknięte w skończenie artystycznej formie. Fogazzaro nie daje zmysłom — a cóż dopiero ich znieprawieniu — przewagi nad duchem. Wierzy w piękno „wyższe, absolutne, moralne“. Wierzy w miłość, „co gwiazdy i palm szczyty wiąże w światłości, choć korzeniem tkwi głęboko w ziemi“ („*Daniele Cortis*“). Nie wierzy w rzekomy rozłam etyki z estetyką. Rozwiązłości przeciwstawia powściągliwość; nerwów napięciu—pełne i zdrowe, wówczas nawet gdy serce zboleało; zawiłościom — jasność; ład — rozrzutności; odętości i pretensjonalności—prostotę; szczerłość—sztuczności.

Na bolączkę naszych czasów, zwątpienie, ma kordjały żywej wiary pozagrobowej, niezwalczony optymizm. Nie prześcigając się w dziwaczności, pozostaje tak dalece oryginalnym, że w dzisiejszej beletrystycznej produkcji dzieło jego pozostaje odosobnionem, przepojonem duchowem światłem. Wytworny wytwornością nie szukana, lecz wrodzoną, mówi i pisze, jak to wyznał w roku 1898 w Paryżu, „z głębi duszy... krwią z pod serca“. Za dewizę przyjął „*Lo sdegno d'ogni vita*“. Rycerz Ducha Świętego, jak się mianuje, w duchu szuka ostoji, pierwiastek duchowy wywodząc zwycięsko z oparów życia. Wątpliwe prawa człowieka, i „nadsztuki“, ryzykowne eksperymenty, czy to w polityce, czy to w sztuce, wybryki, klan-gor — są mu zarówno obce. Kto wie, czy nie Gabryjela d'Annunzio miał na myśli, wkładając w usta najzapalniejszego ze swych bohaterów, Dańjela Cortis, pełne smutku słowa:



„Czyżby Italia zdolna tylko była wytwarzać marną demokrację i w parze z nią idącą literaturę?”

Wprawdzie demokracja nie zdaje się pasować do arystokratycznego w rodzaju swym, do arystokratyzującego się w wyłączności pewnej autora „*Il Fuoco*” i „*Forse che si, forse che no*”, lecz Fogazzaro rozumiał chyba aż nadto dobrze, jak rozkładowy element wnosi do etyki i estetyki d'Annunzio, w jaką popycha anarchję uczuć i obyczajów. Nietzsche nad Fogazzaro władzy nie osiągnął, natomiast wierzył on w ewolucję. W nauce zwolennik Darwina, chociaż wierny katolik, chciałby poglądy mistrza pogodzić z nauką Kościoła („*L'origine del uomo e il sentimento religioso*” i „*Confronto delle teorie di S. Agostino e di Darwin*”). Wierzy w rozwój wszechrzeczy. W polityce jego ideałem jasnym — „*luminoso*”, jak to mówi przez usta Dańjela Cortis, wypowiadającego wszechstronniej od Benedetta („*Il Santo*”) poglądy i przekonania autora — jego ideałem jest demokracja chrześcijańska, wykluczająca przewagę jakiejś klasy, zespół religji z wolnością. W „*Ascensione umana*” złożył wyznanie wiary, któremu, jako myśliciel, obywatel, mąż stanu, mówca, poeta, powieściopisarz, pozostał wiernym. Ewolucję, tak dla jednostki, jak dla społeczeństwa, widzi w wyzwoleniu ducha i przestrzeganiu obowiązków, coraz szersze i wyższe zataczając kręgi. W powieściach swych Fogazzaro odwołuje się do tego, co w czytelniku najgodniejszym jest i najpodatniejszym do ewolucji.

Dzieło jego, zawsze donośne myślowo i artystycznie, liczebnie ogranicza się do kilku zaledwie tomów, wypełniających przeszło trzydziestoletnią powieściopisarską działalność. Prawda, że w ograniczonej tej liczbie niema nic zbytecznego i nic zupełnie miernego i, że powieści Fogazzara uzupełniają się i dopowiadają wzajemnie, dziełu jego użyczając jednolitości. W 1874 r., gdy wydaje „*Mi-*

randa", jest dojrzały, ma lat 33. Następują: „*Malombra*“, „*Il mistero del poeta*“, „*Daniele Cortis*“, oraz trylogja, w organiczną całość związana: „*Il piccolo mondo antico*“, „*Il piccolo mondo moderno*“ i „*Il Santo*“. „*Leila*“, ostatnia przedśmiertna jego powieść, ma być dopełnieniem „*Il Santo*“, zadość zań uczynieniem poniekąd wiernego i kornego syna kościoła, który swoim „*capo lavoro*“, jak to mówią Włosi, ściągnął był na się, ani się tego zapewne w intencji i przy pracy domyślając, gromy indeksu.

Pozatem były rozprawy, były poezje: „*Palsolda*“, „*Miranda*“, „*Poesie scelte*“. W utworach wierszowanych Fogazzaro nie może iść o lepsze z Tyrteuszem Włoch odrodzonych Carducci'm, ani z d'Annunziem, ani z rozdzierającą serce liryką Ady Negri. Ramy noweli też mu nie odpowiadają: wypełnia je wdziękiem samym i poprawnością, nie dotrzymując kroku grubym, lecz potężnym rysom Gabriela d'Annunzio.

Dopiero tak, jak i d'Annunzio, wypowiada się najzupełniej w powieści w wielkim stylu. W fantastyczno-romantycznej „*Malombra*“ spowiada się z tęsknot młodzińskich. W „*Tajemnicy poety*“, poetycznej i subtelnej, jak ballada w poświęcie miesiąca, w utworze, który mniej uważnym czytelnikom nazbyt sentymentalnym zdać się może, przyświadcza swej gorącej wierze w trwałość za grób sięgających uczuć.

Trylogja: oba „*Małe światy*“ i „*Il santo*“—to historia duchowa rodu trzech pokoleń, począwszy od narodowego przebudzenia się Włoch, do doby obecnej. „*Il Santo*“ najwięcej miała rozgłosu. Najefektowniejsza to istotnie i pozornie najszczytniejsza z powieści Antonia Fogazzaro, lecz nie myślę się chyba, stawiając „*Daniele Cortis*“ ponad „*Il Santo*“, tak w duchowem, jak społecznem i artystycznym znaczeniu.

Zresztą, jeśli istotnie w „Małym świątku staroświeckim“ odzwierciedlają się dzieje duchowe rodziców autora, to, tworząc Piotra Maironi, bohatera „Małego świątka nowożytnego“, a tembardziej przetwarzając go w Benedetto w „*Il Santo*“, autor musiał się najzupełniej abstrahować od swego bohatera, stawiając go w tak wyjątkowych okolicznościach; zachowuje jednak zupełną duchową z nim łączność. Nie tak z Cortis'em. W tego mógł przelać i zapewne przelał całą swą duszę, i dlatego Cortis, choć tak wyniosły, jest tak bardzo żywy, taki, jakich powinno być wielu, najwięcej w prywatnym i publicznym życiu. Dla mnie, jak zapewne dla wielu bardzo, chociaż oczarowanych porywającą wymową „*Il Santo*“, „Daniele Cortis“ pozostaje „*capo lavoro*“, arcydziełem Antonia Fogazzaro.

Filozoficzny podkład dzieła autora „*Il Santo*“ i „Daniele Cortis“, w „*Il Santo*“ spirytualny do mistycyzmu, nie ujmuje im życiowej, realnej, społecznej wartości. Fogazzaro nazbyt filozof i nazbyt artysta, by nie miał sięgać śmiało do podłoża zmysłów, nie liczyć się z tą nieoddzieloną, składową substancją człowieka i ludzkości. Liczy się z nią tak bardzo, że ją uważa za godną do wydzwignienia wzwyż tem, co popęd wrodzony uduchowienia, przekształca w trwałą siłę, sięgającą w wiekuistość. Miłość jest osią wszystkich powieści Antonia Fogazzaro, lecz w jego koncepcji to nie instynkt ślepy i zmienny, tem mniej lubieżność chłodna, patologiczne zboczenie, nie samych zmysłów szały, krwi gorączka i woli omdlenie, tylko droga przez zmysły do duszy i serca, sił wzmożenie, ducha uskrzydlenie, zacieśnienie węzłów na wiekuistość, wówczas nawet, gdy jakaś *force majeure* (mistycyzm Benedetto, obowiązek Dańjela) zadzierzgnąć się im w doczesności i fizycznym znaczeniu nie dadzą. Miłość w koncepcji Fogazzaro jest godności człowieczej puklerzem i koroną. Najsłabszy moralnie z jego bohaterów, Silla („Ma-

lombra") uważa ją za uzdolnienie do gardzenia tem, co „niecne i poziome“. Najsilniejszy, nietylko z jego, lecz z bohaterów całej współczesnej beletrystyki, Dańjel Cortis, nie zadawalnia się tem, czemby się większość zadowolniła: nie poprzestaje na sercu Eleny, więcej mu trzeba: „*tu hai l'anima sua, avrai lei nel altra vita*“. Istotnie, bo sama miłość daje śmiertelnym nieśmiertelności miarę. Nieskończoności uczucie jest od niej nieoddzielne, i nikt w powieściopisarstwie nie postawił miłości tak wysoko, jak Antonio Fogazzaro.

Wie on, że walka sama już przez się, jako manifestacja woli, energii pobudka, antagonizm dwóch sił, rozrywających wiekuiście człowieka wzwyż i w dół, lub w prawo i w lewo, wedle naszych dosadnych wyrażań, jest potężnym czynnikiem, bywa dźwignią. Im założenie walki głębsze, a cel wyższy, tem walka szczytniejsza, a ogień ofiarny, czy ma na imię patryjotyzm (Franko Maironi), czy ekstaza religijna i ascetyzm (Piotr-Benedetto), czy obowiązek poprostu, obowiązek osobisty i społeczny (Dańjel Cortis), przeczyszcza wszystko, co z ziemi poczęte. Bohaterów swych i bohaterki od Silla do Cortis'a, od poety do Piotra-Benedetto, od fantastycznej Maryny do dzielnej Ludwiki Ringhey, od sentymentalnej Violety do czystej i prostej, jak Anioł della Robbii, purytanki Noëmi Aksel, od najmodernistyczniejszej ze swych kobiecych kreacji Johannya Dessale do najdramatyczniejszej w cichem swem bohaterstwie Eleny Carré, ludzi najrozmaitszej duchowej i intelektualnej miary, najróżnorodniejszych temperamentów, wśród najróżniejszych środowisk i wypadków, Fogazzaro wie dzie stale w górę, ku lepszemu.

I nie sądźmy, że tak postępując wytwarza manekiny, podtrzymujące filozoficzno-społeczną tezę, nieudolnych przedstawicieli lub rzeczników idei. Nie. Doskonałe to

wcielenie takowej, ludzie z krwi i kości, wówczas nawet gdy, jak poeta lub Benedetto, zdają się najbardziej oderwani od realności życiowych. Najsilniejszego ze swych bohaterów, Dańjela, co w żelazną swą wierzy wolę, któremu złamane serce pobudką jest do czynu, najcięższem, bo ustawicznego, powszedniego obowiązku obciąży jarzmem. Najniepodatniejszą na głos ofiary Johannę powiedzie, jeśli nie najbardziej ciernistą—ta zdaje się być udziałem Eleny—to najbardziej stromą ścieżką od chwili, gdy, mając go już posiąść, traci kochanka, do onej sceny w klasztorze w Subiaco, która patetycznością prześciga wszystko w tym rodzaju. Już gotowa wybuchnąć zbyt długo tłumionem wrzeniem, skarżyć się, pytać, prosić, zaklinać, Johanna milknie pod milczącym gościem, jak cień posuwającego się przed nią po schodach klasztornych kochanka: Piotr-Benedetto wskazał na tkwiący nad furką klauzury napis: *Silencium*.

Surowość i czystość zasad i obyczajów nie wyłącza żaru wielkich, chociażby nie wiem jak tłumionych ukochań, i dramatyczny ów pierwiatek tkwi we wszystkich powieściach Antonia Fogazzaro, oprócz może ostatniej „Leila“, bo same pogrzeby—a jest ich kilka—dramatycznymi przecie nie są. Fogazzaro wie, że cierpienie jest nieoddzielne od wielkich ukochań, i wie, jak potężnym jest czynnikiem w sztuce. Myśl tę ujął nawet w oddzielnym traktacie: „*Del Dolore nel Arte*“ \*). „Daniele Cortis“, w swym powściągliwym tonie i równym, na pozór powszednim biegu, jest przedewszystkiem tragiczny. Fogazzaro wzrusza, bo jest wzruszony i przekonany... Wszak pisze „krwią z pod serca“. Wzrusza, bo potraça o struny żywe, napięte

---

\*) Rozprawę tę znajdzie czytelnik w polskim przekładzie w poprzednim zeszytcie „Sfinksa“. (Red.).

w sercach i życiu ludzkim; nie pomija nic z tego, co jest tęsknotą i słabością, a tak łącznie w ból się przedziera i tkwi w sercu wówczas nawet, gdy serce to autor wie-  
dzie wyżej, coraz wyżej: *Sursum corda!*

Nietylko głęboko wierzący, jest on katolikiem szczerym, jak to wyznaje, jak tego dowiódł, poddając się pod Indeks Rzymskiej Kurji. Kocha i uznaje Kościół w jego zespoleniu niebieskim i ziemskim. Uważa za ciało żywe: „*un essere vivante*” („Daniele Cortis”), podlegające, w ziemskim znaczeniu, ewolucji, to jest rozwojowi. Nietykliwość dogmatu szanuje najzupełniej, jak to zaznacza Jan Solva („*Il Santo*”) przy zagajeniu zebrania wiernych w Subiaco. Benedetto („*Il Santo*”) uczy: „Bóg chce, byście pozostali w kościele i byli w nim źródłem żywym”.

W tem rzecz—„źródłem żywym” i żyjącem. Gdziein-  
dziej cichy reformator upewnia, że wiara żywa prostaczka  
działać może więcej „*per il maggior bene della religione ca-  
tolica*” od kongresów i konkregacji. Benedetto, szanując  
hierarchję, pragnie, by zmiany, które uznaje za niezbędne,  
poszły od głowy Kościoła, i „*Leila*”, jak to chcą niektórzy,  
nie jest dalszym protestem, ale i nie odwołaniem, jest  
raczej pokornym podkreśleniem przez ukorzonego przed  
władzą kościelną autora przekonań o niezbędności zmian  
pewnych, zgodnych z potrzebą czasu, w ustroju kleru  
i stosunku jego do społeczeństwa. Gruby materializm, wy-  
studzenie pod zwierzchnim dogmatyzmem kleru Fogaz-  
zaro piętnuje w „*Leila*”, jak w „*Il Santo*”, szeregami wy-  
bornych, z życia pochwyconych typów. Katolik żarliwy,  
lecz, jak to podkreśla Cortis: „*Un religioso, non e clericale  
un corno*”, chce, by Kościół w rzeczach świeckich pod-  
legał ogólnym prawom, a interesów państwa nie poddaje  
autorytetowi, aczkolwiek „wielkiemu, lecz postanowionemu  
na innych podstawach, posiadającemu odmienne środki  
ku osiągnięciu swych celów”.

Tendencje te podpadają istotnie pod wyklęty przez Watykan na zaraniu naszego stulecia tak nazwany „modernizm“. To spowodowało nałożenie Indeksu na najpiękniejszą w artystycznym, a skądinąd podniosłą w etycznym znaczeniu nowoczesną powieść „*Il Santo*“.

Benedetto jest niewątpliwie reformatorem, tylko że nazwy tej nie trzeba tłumaczyć tak, jak to czyni naprzykład Faguet („*Revue de Deux Mondes*“ 1911—15 Mai), nazywając go „katolikiem z duszą luterską“. Nie burzyciel to, lecz odnowiciel wedle modły czysto romańskiej. Nie krytyk, pełen pychy, lecz ubogi, czysty ekstazyk na wzór „*Poverello*“ z Asyżu, pełen prostoty, zaparcia się, pokory i synowskiej miłości. Praktycznie niemożliwa, w prawdzie swej poetycznej bardzo piękna i donośna scena audjencji wieczornej w Watykanie, długiego sam na sam z Papieżem, spowiedzi z pod serca—jest tego najlepszym dowodem. Dla wprowadzenia ideału swego w życie, Benedetto żąda sankcji Głowy Kościoła. Nie otrzymuje i bez szemrania poddaje się wyrokom władzy, hierarchji kościelnej, ciała, od którego odłączyć się nie chce. „*Leila*“ jest dopełnieniem tylko tego wyznania wiary, jest aktem pokory.

## VI.

Spirytualizm Antonia Fogazzaro, chociaż zahacza o mistycyzm, nie przeszkadza mu pozostać konkretnym, co już jest wybitną cechą gienjuszu romańskiego. Franka, miękkiego, napozór słabego marzyciela, ratuje patryjotyzm. Staje on w awangardzie walczących o niepodległość ojczyzny. Cortis to wcielenie obywatelskości. Złamane osobiste szczęście jest mu bodźcem do spełnienia tem gorliwiej obowiązków społecznych, a własnej sile i energii przy-

świadczą, mówiąc: „io posso tutto.“ Nad zmysłami swymi włada; włada nad sercem, domagajacem się praw swoich. Nie przerzuca się, nie miota, idzie niezachwiany raz wytkniętą drogą. Do czynu, do pracy dla ojczyzny, społeczeństwa, idei — staje z prostotą żołnierza, odpowiadającego na apel: „eccolo!“ Jestem! Jak Cyd był najdoskonalszym wcieleniem rycerskości w literaturze dawnych wieków, tak Cortis jest najdoskonalszym typem obywatelskości w nowożytnej powieści.

Sam przedstawiciel oderwań ascetyzmu, Benedetto, ma praktyczne, moralne i społeczne cele. Działa, pokonywa zrazu sam siebie, a walka ta ze zmysłowem nawoływaniem, nie byle jaka, jeśli się Maironi ratuje nagłą ucieczką, absolutnem zerwaniem ze światem i przeszłością, zacieraniem śladu za sobą.

Utrzymują niektórzy, jakoby Fogazzaro upośledził we względzie religijnych uzdolnień kobietę, jako przykład cytując Ludwikę Righei z „Małego światka dawniejszego“ i oną piękną scenę z „Il Santo“, gdy ścigany przez Johannę Benedetto zatrzymuje ją wskazaniem napisu nad furtą klauzury: *Silentium*.

Może istotnie Fogazzaro, bystry spostrzegacz, zauważył, że w świecie kobiecym religijność zwykła się objawiać najmarniejszym ze swych surogatów: dewocją, w którą wpadają najbierniejsze lub niezdolne z trawiącej je egzaltacji wybić się ponad praktyki. Zresztą Fogazzaro należał do pokolenia obcego, jeśli już nie wrogiego, powstającej tak zwanej kwestji kobiecej. A może — rządziły nim poprostu artystyczne cele i artystyczne konsekwencje? Ludwika Righei jest wcale emancypowaną kobietą, w praktyczności prześciga męża, w którego religijność istotnie zdaje się nie wnikać. Ale należy ona do dawno już — idee tak szybko biegly przez drugą połowę XIX stulecia! — odeszłych pokoleń! Johanna Dessale jest już niewątpliwie



modernistycznym wyskokiem intelektualizmu kobiety. Wyskokiem bardzo dodatnim, bo tylko wobec takiego zająć mogły kolizje, co Piotra Maironi zmieniły w Benedetta. Ale...

Ale mamy Elenę Carré, baronową di Santa Giulia, najczystsze wcielenie kobiecości w najdodatniejszym, najbardziej *ludzkiem* znaczeniu. Staje ona narówni z mężczyzną nietylko w koncepcji obowiązku, lecz i przez prostotę, z jaką surowy i heroiczny obowiązek spełnia, przez świadomość praw swych i własnowolność zrzeczeń się, co biednej Johannie danem nie było. Kto wie zresztą, czy wobec romańskiej konkretności autora, w tej przedziwnej prostocie, z jaką Elena wstępuje na wyrzeczeń się drogę, nie tkwi ostatnie słowo kobiecej miłości w jej najszlachetniejszym objawieniu. Nie chce być kulą u nogi ukochanego, cieniem na drodze, co bez cienia pozostać winna, by innym przyświecać przykładem. To zaś, że wskazówki i podpory szukała w sumieniu Dańjela, nie zmniejsza jej zasług ani obniża dostojności. Elena pozostanie bohaterką w wielkim stylu, kto wie, czy nie w największym, na jaki się romans współczesny zdobył?

I nie w lada jakim stylu jest Johanna Dessale. Nawet na dalsze plany usunięte postacie kobiece, jak Marja, wierna żona i towarzyska duchowa Jana Selva; jak pyszna w swej purytańskiej prostocie jej siostra Noëmi; nawet tak epizodyczne, jak owa wiejskiej szkoły nauczycielka, zabiegająca drogę odchodzącemu Benedetto i u nóg jego płacząca, jak biblijna Marja z Magdali — czyste i śmiałe w rysunku podnoszą godność kobiety - człowieka, którą d'Annunzio zniżył do poziomu samicy i niżej - o! niżej jeszcze: do wiekuiestej kusicielki, przyrodzonej nieprzyjaciółki, niszczytelki męża, wznoszącej się pomiędzy nim a jego ideałami i czynem.

Leïla, bohaterka tytuł ten noszącej ostatniej przedśmiertnej powieści Fogazzaro, jest najpospolitszą w galerji jego kobiecych postaci, chociaż odznacza się świeżością młodzieńczego iście szału. Donna Fedele to znów słodki, zacierający się, nieco przestarzały typ matrony, wiernej do grobowej deski uczuciom młodości.

Powieść tę krytyka uważa za epilog do „Il Santo“, i to nie tylko dla malowniczego nad wyraz pogrzebu Benedetta w Orią, lecz dlatego zwłaszcza, że bohater powieści Maksym jest uczniem Benedetta, tym, co nauki mistrza w czyn ma zmienić, wwieść w życie. Pomimo wiek młodociany, zawód wiejskiego lekarza, pełną burz — w szklance wody zresztą — miłość do fantastycznej nieco Leïli, zajęty jest przedewszystkiem zagadnieniami natury metafizycznej, religijnej.

Lecz Maksym zwątpił, Maksym nie wierzy. Jego mistrz nie wątpił nigdy, ani wówczas nawet, gdy go wszystko zawiodło, gdyż posiadał on czarodziejskie gorczyczne ziarno, co góry przenosi. Natchnionym był mistrzem, a Maksym to jeden śród wielu, to tłum, oracz, nie siewca, ten, co gorczyczne ziarno winien pielęgnować, by plon obfity wydało. Zresztą mimowoli nasuwa się przed baczniejszym czytelnikiem pytanie, czy w duszy Maksyma zwątpienia ustąpiły zupełnie i niepowrotnie wobec podniosłych wrzeń pogrzebu mistrza i budującego, katolickiego zgonu donny Fedele?

Jeśli w „Il Santo“ aż nadto zrozumiałem było ciche, nieuniknione nawrócenie purytanki Noëmi, bardziej jeszcze zrozumiałe motywy nagłej adherencji bezwyznaniowej dotąd Johanny Dessale u wezłłowia konającego kochanka. Czegoż to — i to z samej głębi serca — nie powie, nie obieca, nie dotrzyma umierającemu kochankowi kobieta, co wraz z krzyżem przyjmuje jego ostatnie tchnienie, a sama ma serce i życie rozdarte? Wiara — toć jedyny

węzeł, co ją z nim związać jeszcze może. Przedewszystkiem rozumiemy Elenę Carrè, „*Umile col Signore e con te*“. Ale Maksym? Świeżo upieczony medyk, dopiero co opuścił Sapienzę, ma poślubić zgoła niemistycznie usposobioną, samowolną Leilę. Czyż jedno, aczkolwiek podniosłe wzruszenie może mu wrócić zachwianą, bezwzględną wiarę? Ten do walki ze zwątpieniem wyzwąć był winien cały ów spirytualizm, do którego uczniów swych dostrajał Benedetto, nawrócić się, czyli raczej utwierdzić w wierze pod wpływem tchnienia mistrza.

Zwykle niepospolity, silnemi rysy zaznaczony — oprócz może samej tylko Leili i Maksyma — indywidualizm swych bohaterów Fogazzaro zasada nie na przebijalności organizmu, fantazji i nerwów w jakimś specjalnym kierunku, jak to zwykł czynić d'Annunzio, lecz na pierwiastkach lotnych, nieskończenie rozróżniczkujących się, nad wyraz subtelných; na ich kolizji z życiem, z otoczeniem, a zwłaszcza już z rozterką wewnętrzną. Sfera działania zmysłów z natury swej jest ograniczona i przy jakbądź potężnego talentu rozdmuchiwaniu, pozostaje zawsze monotonna. Nie tak ze spirytualizmem, którego wysoka i szeroka miara sprzyja rozwojowi skrzydeł wielkiego talentu. Dla Fogazzara siłą nieprzepartą, „*force majeure*“, rządzącą człowiekiem, nie popełd zmysłowy, który przy elastycznych zasadach zadawalnia zawsze łatwo, lecz Ideał, gwarantujący dostojęństwo indywidualizmu, różniczkujący do nieskończoności Psyche i — tak bardzo od Psyche zależną plastykę bohaterów i bohaterów romansu. Materiał dla sztuki niewyczerpany, kopalnia typów, niełatwo zacierających się w pamięci przeciętnego chociażby i pobieżnie czytającego czytelnika. A że Fogazzaro obserwować umie, umie żywcem chwytać podobieństwa, stworzył więc galerję całą postaci wybornych, często dosadnych. Jeden z jego krytyków (Faguet) twierdzi,

że tylko rozum wielki dostrzega oryginalność, chociaż do-koła nas jest jej więcej, niż niedostrzegawcze oko pochwycić umie. Ten to spirytualizm zawsze podniosły, ta wierna spostrzegawczość, ta barwna, harmonijną barwnością plastyka, ta wypukłość, śmiała, lecz nieprzesadna, użyczają powieściom Antonia Fogazzaro tyle głębi, ciepła i oryginalności w epoce, kiedy krzykliwość i płaskość, pretensjonalność i pustka rozpanoszyły się w powieściopisarstwie.

Nie inne też czynniki użyczają powieściom jego szerokiego, społeczno-obyczajowego podkładu, opartego na filozoficznej, lecz jednocześnie zupełnie artystycznej tezie. Fogazzaro porusza nietylko idee, porusza masy ludzkie, kierując nimi konsekwentnie. Zbiorowe sceny w jego powieściach o lepsze walczą z chwilami, w których porusza indywidualne głębie dusz i serc, że zaś zwykł wszystko obejmować żelaznym pierścieniem konsekwencji, to jest spoistości założenia i celu, rozwoju akcji, scenerji, psychologii, łączy w istocie swego talentu cechy wybitnie romańskie i jest w bieżącej literaturze włoskiej przedstawicielem romańskiego ducha. Duch ten, bujny, a konkretny zarazem, lubi budować, nie burząc. Daniele Cortis, ironizując nieco, mówi, że w charakterze włoskim przeważa rozsądek, „*buon senso*“, to też dla wszelakich zuchwałstw domaga się przeciwwagi praktycznej: „*bilancio preventivo*“. Dzięki tej to przedziwnej spoistości w rozdzieleniu gienjusz romański mógł dla ludzkości zdziałać tak wiele. Jasność jest jego znamieniem, i grzeszy względem niego każdy, kto jasność tę zaćmiewa, a równowagę, „*bilancio preventivo*“, Cortisa narusza.

Romańskie też pierwiastki Fogazzaro wnosi w kompozycję swych powieści, w ich technikę. Budowanie jego nie filigranowe, ani mozaikowe, nie bombiaste, rokoko, a gdy wpada w gotyzmu ostrołuki, to je wraz na rodzimą

przekłada modłę. Jak bądź strzeliste będą, zawsze oparte na potężnych cokułach, na bryłach, oblanym światłem, na prostych, podstawowych liniach. Nic tu niema zwichrzonego, żadnych wstawek lub niedomówień, żadnych też być nie może nieporozumień.

Plastyka jego nie snycerska, lecz jak i Gabryjela d'Annunzio malownicza, pozostaje w stosunku do malowniczości tego ostatniego, jak płótna Luini'ego, Bellini'ch, Lionarda, Solario, Boticelli'ego do płócien Weroneńczyka, Giorgione, Carravagio. To, co ustępują tamtym w blasku, zyskują w rysunku i intensywności wyrazu. Pejzaże jego mają coś z pejzaży prerafaelistów i Ruisdale'a. Wyłącznie lombardzkie i rzymskie, smętne i poważne, w rosach skąpane, zielenią obramowane, pełne jezior głębokich i cichych, cienistych, zacisznych ogrodów, przepięknych klasztornych krużganków, z ruinami i górami na horyzoncie lombardzkiej Oria i Palsoldo, surowego, ponurego Subiaco, Celciosa i Awentynu. Wytwarza to nastroje, odmienne od tych, którymi szafuje d'Annunzio, lecz dopasowane ściśle do dzieła Fogazzara: tęskne, rzewne, ciche, jak życie samo...

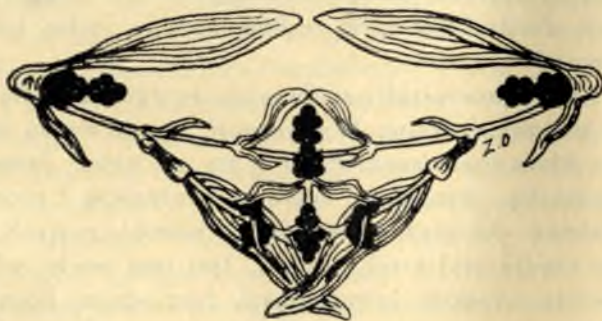
Z natury powściągliwy odznacza się wytwornością wrodzoną, nie zaś szukaną. Wytworność i prostota są to cechy, na które modernizm zdobyć się nie umie. Jasnością też romańską, wrodzoną sobie wytwornością i prostotą, nieoddzielną od myśli głębokiej i uczuć czystych, Fogazzaro rządzi styl swój i język. Jest tam wiele właściwej mowie włoskiej rytmiczności, lecz więcej harmoniji, niż rozlewnej melodji, precyzji klasycznej wiele. Dwuznaczności żadnych nigdy. „*Lo sdegno d'ogni vita*“ służy mu za regułę tak wyrazu, jak koncepcji, i, jeśli bogaty w nowe słowa, niespodziane zwroty, o barokowej ornamentyce język i styl d'Annunzia przypomina kunsztowną, połyskliwą mozaikę, to styl i język Antonia Fogazzaro

robią wrażenie kryształowo przezroczystej, świeżej krynicy. Czytać go, zwłaszcza po przeczytaniu d'Annunzia, jest prawdziwym wypoczynkiem.

Myliłby się jednak w arkany tej prostoty niedość wtajemniczony tłumacz, co by się dał zwieść tą płynnością. Jeśli tłumaczyć Gabryjela d'Annunzio trudno bez uronienia migotliwości jego stylu i melodji słowa, to płynność i kryształowa przezroczystość Antonia Fogazzaro są zasadzką i pod piórem nieoględnego tłumacza łąco się w płytkość zmienić mogą.

Z Fogazzarem duch romański, ideowo zmodernizowany, w najczystszej swej formie zapanował w obecnej beletryście włoskiej.

*(Dokończenie nastąpi).*





AnTab.

Dr. WŁADYSŁAW KŁYSZEWSKI.

## Z K S I A Ǻ Ż E K.

Rok 1913 przyniósł Polsce kilka powieści rocznicowych z przed wieku. Rozbłysła na progu zeszłego stulecia epopeja napoleońska, długo jeszcze niepokoić będzie twórczą fantazję poetów i powieściopisarzy, nieprzebrana jest bowiem skarbnicą bogactwa współczesnych dusz i wiekopomych zdarzeń.

Do apelu jeden z najpierwszych stanął Kazimierz Przerwa-Tetmajer ze swą dwutomową powieścią „Koniec epopei“ \*). Są to dwie części zamierzonej trylogii, której część trzecia i ostatnia jest jeszcze w przygotowaniu. Jakkolwiek tedy nie o całości będzie mowa poniżej, to jednak, z uwagi, iż pierwsze dwa tomy w dostatecznej mierze rysują intencje autora, pozwolę sobie poddać je rozważaniu.

---

\*) Kazimierz Przerwa - Tetmajer: „Koniec epopei“. Tom I i II Warszawa, 1913. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skład główny w księg. E. Wende i Sp.

Trylogję swoją Tetmajer poprzedza wstępem. Jest to rodzaj ekspozycji, spowiedzią jest autora z uroku, jakim go oczarowała postać Napoleona, wyznaniem entuzjastycznego zachwyty i uwielbienia.

Wstęp ten kończy Tetmajer-poeta w te słowa: „Nie wiem, jaka jest dziś legienda Napoleńska gdzieindziej, lecz wiem, jaką jest w Polsce. W kurzu bitew i wśród błysku armat, obok czarnego, stosowanego kapelusza, wznosi się, chwieje i pada czako ułańskie“.

Z uczucia, zawartego w tych dwu zdaniach, zrodziła się, śmiem twierdzić, cała trylogja. Bonaparte, „który przez niecałe lat dwadzieścia swojej kariery zdziałał więcej, niż wszyscy królowie francuscy od Hugona Capeta z X-go wieku, aż do Ludwika XVI-go“, w którego życiu „da się widzieć personifikacja życia powszechnego człowieka“, a „żywot i sława jego równe są żywotowi i sławie całych państw największych“, zbudził w sercu wielkiego poety tęsknotę do odtworzenia w słowie, nieogarnionej potęgi swych czynów. Ale na siedmiostrunnej lutni polskiego poety wciąż jeszcze dźwięczy ta jedna, co zawsze woła:

O! wy, co w prochu myśli mażecie i serca  
Z tych serc otrzyście rdzę — podnieście czoła!

Więc, blizka polskiemu sercu, porusza zamarłą legiendę o bohaterskim księciu, o niestrudżonym wojowniku-ułanie, o pobojowisku wraz z glorią napoleońską zagasłych nadziei.

„Końca epopei“ nie nazwałbym powieścią. Jest to raczej pamiętnik poetyckiego entuzjazmu autora, jest materiałem, z którego by dopiero należało powieść wykroić.

Bardziej jeszcze, aniżeli w jakimkolwiek innym ze swoich utworów, daleki jest autor od myśli o mocnej



i logicznej budowie. O nią się ani przez chwilę nie zatroszczy. Hojną dłonią wrzuca, jak do saka, cenne klejnoty swych natchnień w postaci scen, opisów i zdarzeń, bez troski, by przecież razem to zlepnić jakoś i złączyć

Od czasu tedy do czasu, wśród gubiącej się w nużących drobiazgach, monotonnej opowieści, błysnie wspaniała scena, z prawdziwego urodzona natchnienia. To rozróżnienie gienezy poszczególnych fragmentów na tle całości, nie mającej pretensji do podobnej paranteli, jest dla ogólnego wrażenia o twórczym instynkcie autora wielce niekorzystne.

Rzecz prosta, iż główną osobą „trylogji“ jest Napoleon. Życie jego, opisywane dzień po dniu, w epoce wyprawy na Moskwę i towarzyszące tej wyprawie zdarzenia—stanowią tło powieściowej fabuły. Około tej zasadniczej akcji zgrupowane są w poetyckim nieładzie akcje drugo-planowe, które nierzadko perłami by nazwać można na szarem tle opowieści. Więc wizyta ks. Józefa w białym dworku polskiego szlachcica, scena, której bez łez niepodobna czytać, więc groteskowa opowieść o kilku dniach postoju Napoleona, spędzonych pod dachem imć pana Ślupcia na Litwie, a dalej choćby śmierć Mirskiej Teresy, zagryzionej żywcem przez psy, włączące się za resztkami wielkiej armji, czy zawadjacka fantazja Kolskiego, który skazującej go na okrutną śmierć rosyjskiej dziewczynie rzuca w chwili przed męczeństwem zrezygnowane „całuj psa w nos“. Albo i ta postać księdza Fasolkowskiego z Pucimuszek, zapamiętałego bonapartysty i śpiewany przezeń polonez, który być winien wręczony do szeregu najcenniejszych utworów Tetmajera.

Momenty te, jak wogóle wszystkie sceny udziału polskiego w epopei, wraz z końcową sceną drugiego tomu—śliczną, miłosną przygodą księcia Pepi—żał budzą

do autora, że je wśród naczelnego zamiaru trylogji swej po pańsku zaprzepaścił.

\* \* \*

Pani Marja Jehanne-Walewska, hrabina Wielopolska w żaden sposób nie chce zrozumieć tej prostej prawdy, że utwór artysty, a dziennikarska wzmianka, czy polityczny artykuł — to są dwie rzeczy zupełnie różne. Jest przecież chyba różnica w klasyfikacji piękna, zawartego w tych dwu rodzajach „twórczości“, która nie pozwala na stopienie ich w jedną całość już choćby dlatego, że są to dziedziny zasadniczo odmiennego odczuwania. I chociaż się p. Walewska i tym razem na mnie pogniewa, jak to już zdarzyło się raz z powodu mojej recenzji o poprzedniej jej książce — Faunessach — i nowy list do krytyków polskich napisze, nie przestanę twierdzić, że z połączenia publicystyki ze sztuką rodzi się zazwyczaj artystyczny dziwołag, a przecież nie jest chyba zamiarem tak szczerzej i utalentowanej autorki tworzenie w tym specjalnie kierunku.

Najnowsza jej powieść o 63-cim roku p. t. „Kryjaki“ \*), już przez samo ujęcie tematu nastęrcza wiele uwag. Doniosłość utworu potęguje przedmowa Żeromskiego, podająca do dyskusji krytyce literackiej w Polsce szereg pierwszorzędnej wagi zagadnień. Tyczą się one w pierwszej mierze „wolności tworzenia niczem nie krępowanego“. Wolności tej w Polsce, zdaniem Żeromskiego, stosować nie sposób, literatura nasza bowiem „od dawien dawna

---

\*) Marja Jehanne Walewska (Hrabina Wielopolska). „Kryjaki“ O sześćdziesiąt trzecim roku opowieść z przedmową Stefana Żeromskiego. Spółka Nakładowa „Książka“ Kraków.

zgodziła się na służbę do sprawy ojczystej i nie wyrzeka się swej pańszczyznianej doli“. Jest to może tylko ciąg dalszy pracy Słowackiego, aby literaturę tę „naszą silniejszą i trudniejszą do złamania wichrom północnym uczynić“. Twórcy nasi, to „rycerze tej nadpowietrznej walki, która się o narodowość naszą toczy“. Dobrze więc, że sztandar tej walki idzie z rąk do rąk, pokoleniami, że, wierni jej hasłu, twórcy nasi najcenniejszych dobywają natchnień z najgłębszych pokładów polskości i tworzą czystą krynicę odrodzenia, szkoda tylko, że, mówiąc słowami przedmowy, „niejeden ekonom potrąca ją (literaturę) według swego widzenia rzeczy w ekonomicznym kierunku“. Najważniejszym dla mnie zadaniem krytyki literackiej jest — że znów użyję wyrażenia przedmowy — „roztrząsanie i ważenie artystowskiej wartości dzieła“. O ile wszakże artysta przyjmuje na się rolę publicysty i oczywiste fakty nagina do swej społecznej, czy politycznej doktryny, sugerując mi je w pozornie artystycznej oprawie, traktuję go zawsze, jako bojownika o zdecydowane hasła i do właściwej roli sprowadzam. W „Kryjankach“ „pomiędzy wierszami tak zwanej fabuły raz wraz połyskuje ostrze sarkazmu, złośliwej cytaty“ — mówi Żeromski w przedmowie. Istotnie — „sarkazmu“, czy „złośliwej cytaty“ — bo nie istotnej prawdy. Główną tendencją powieści p. Walewskiej jest zohydzenie katolickiego kleru. Nie chodzi mi tu o obronę tej, czy innej warstwy narodu, lecz tylko i wyłącznie o fakt, który, przez zgoła fałszywe *historycznie* oświetlenie, odczucie estetyczne obniża i razi. Nie trzeba być praktykującym katolikiem, by odczuć słusność kanonu, że wszelki wyraz artystyczny osnuty być winien na rozumowo zgodnem z prawdą podłożu. Poszczególne fakty, choćby i słuszne i prawdziwe, uogólniane do miary zasady, pomimo swego wysoce artystycznego wyrazu, nie wzruszą mnie, ani zachwycą, po-

budzić są jeno zdolne do refleksji, które dziełu sztuki nie zawsze wyjdą na dobre. Będzie to wytworna, wykwintna, ale zawsze tylko agitacja, a na nią w dziedzinie prawdziwej sztuki niemasz miejsca. I choćby mi autorka nie wiedzieć jakie cytowała kazania, czy listy pasterskie na poparcie swej tezy, że Polak, przyoblekający suknię kapłańską, tem samem staje się odstępcą — odpowiem jej na to równą ilością przykładów, któreby do innych zgoła wniosków mogły doprowadzić.

Literatura nie jest ujeżdżalnią — miejscem wieców partyjnych, artysta zaś nie powinien mieć w sobie nic z agitatora, naginającego fakty rzeczywiste do potrzeb panującej chwili. W pewnym miejscu swojej przedmowy mówi Żeromski: „Obawiam się, że te międzywierszowe polyski bardzo ciężko zaważą na losie utworu. Nie przeważy siła i artyzm dzieła mniemań i pasji twórczyni“. Otóż istotnie może nie przeważy, lecz choćby dla tem większego żalu naszego z całą stanowczością podniesioną być winna. Są w „Kryjakiach“ miejsca i sceny o tak zdecydowanej piękności, ustępy o tak wymownej sile i tak rzewnem uczuciu, że „ogół polski doczyta się w tych kartach uczuć swych własnych, mocy swego honoru, istoty swej hańby, istoty swego narodowego bohaterstwa“ wątpiłbym jednak, czy — „upodoba sobie w owych „Kryjakiach“, jako w księdze swej własnej“.

\* \* \*

Śpieszymy zanotować pracowity debiut powieściowy p. Jerzego Nowakowskiego, który wystąpił z dużym tomem p. t. „Zawierucha“\*). Treścią tej „Zawieruchy“ są bohaterskie czyny oficera zapasu armji rosyjskiej, sympa-

---

\*) Jerzy Nowakowski: „Zawierucha“, powieść na tle wojny rosyjsko-japońskiej. Warszawa, 1913. Nakł. księg. E. Wende i Sp.

tycznego zresztą inżyniera Kańskiego, czasu ostatniej wojny na Dalekim Wschodzie. W duszy bohatera rozgościły się „dawnych Polaków duma i szlachetność“, szczególnie jaskrawo podkreślona w scenach, dobrze malujących pełną inicjatywy wojowniczość tego przedstawiciela białej rasy w stosunku do żółtoliczych „Japoncew“. Nad całą powieścią unosi się pewien liryczny sentyment, spowodowany zapewne charakterem dedykacji. „Ukochanemu cieniowi“ poświęca autor swą książkę. Fakt ten zdecydował, zda mi się, o charakterze „Zawieruchy“. Jest ona bowiem ni to pamiętnikiem osobiście przeżywanych wrażeń, ni to spowiedzią przed kimś z miesięcy, przepędzonych w rozłące,—w każdym razie autor zbyt troskliwie czuwał, aby, skoro się ktoś jego w bohaterze dopatrzy, nie miano mu do zarzucenia zbyt wiele. Forma powieściowa tego „pamiętnika“ wybrana została chyba dla nadania mu cechy pozornie bardziej interesującej. Niesłusznie.

\* \* \*

Pani A. Kallasowa wydała dziewiątą z kolei książkę p. t. „Córki marnotrawne“ \*). Tematem tej powieści jest ciekawe środowisko żydowskiej młodzieży w Galicji, a w szczególności los dwu Klingerówien, pragnących koniecznie zasymilować się przez maturę gimnazjalną. Przed niedawnym czasem głośną była w Krakowie sprawa dwu Żydówek, staczających formalną walkę o prawo swe do wiedzy. Pograżeni w mrokach *ghetta* rodzice za wszelką cenę bronili swych córek przed wpływem „gojów“. Rzecz oparła się o kratki sądowe i opiekę prawną, aby wydrzeć z rąk sfanatyzowanych życiodawców „wyrodne“ Izraelitki. Podejmując ten aktualny temat, miała p. Kallasowa wdzięcz-

---

\*) A. Kallas: „Córki marnotrawne“. Powieść. Lwow. Wydawnictwo „Kultura i Sztuka“.

ne zadanie do spełnienia. Niewątpliwie doskonale obznajmiona ze środowiskiem, w którym podobnie średniowieczne wypadki zdarzać mogą się jeszcze, miała sposobność autorka do zbudowania zasadniczego konfliktu między dwu pokoleniami, do postawienia mocnego zarysu walki dwu tyle odrębnych światów. Temat niesłychanie doniosły i wysoce dramatyczny, mający wszystkie cechy powieści programowej.

Nic z tego jednak nie widzimy w najnowszej powieści p. Kallasowej. Bo i próżne byłyby oczekiwania nasze, skoro „wyzwalające się” pokolenie młodych wespół nawet z autorką nie dopatrują się rodzącego wszelką walkę zasadniczego konfliktu. Ponad bowiem wszelkie wyzwolenicze hasła silniejsze jest snąc w środowisku Klingerówien poczucie rasowości, nieobce, zda się, i autorce, skoro je tak wyraźnie, z tak zresztą ujmującym i serdecznym ciepłem maluje w scenie hannibalowej przysięgi Malci Klingerówny przed ojcem jej, nic zresztą nie mającym w sobie z Hasdrubala. Zagadkowym typem w powieści jest panna Wanda Szatkowska, studentka medycyny, wyraźnie odczuwająca swą obcość w stosunku do dominującego otoczenia i dająca obcości tej wyraz w pewnym odruchu, szybko zresztą stłumionym przez dziewczęcą indolencję.

Ostatnia książka pani Kallasowej, ze względu na doniosłość poruszanej sprawy i próbę jej rozwiązania, zostanie dokumentem.

\* \* \*

Drugą z kolei „powieścią galicyjską” jest Kazimierza Królińskiego „Tajemnica miecza”. Dziewiętnasty to już tom, którym literaturę polską obdarza autor-poeta, dramaturg, nowelista, powieściopisarz i tłumacz. Czytając tę dwutomową powieść współczesną, doznaje się wrażenia, że ożyły sielskie czasy powieści Rodziewiczówny. Głównie

nym zrębem utworu jest sprawa ludowa w Galicji, a raczej coraz to szersze zataczający kręgi dopływ do miasta inteligientnych sił z pod wieśniaczych strzech. Ci chłopscy synowie, pasący ojcową trzodę w mundurkach gimnazjalnych, tęga i krzepka więź narodu, dziś już poważną odgrywający rolę w bilansie społeczno-politycznego życia tej części Polski—są jednak w powieści, przez anachroniczny sentyment autora, wręcz nierzeczywiści.

Fabuła powieści jest niezbyt skomplikowana. Jeden z takich właśnie umundurowanych pastuszków ujrzał był, przy niesłychanie romantycznej scenerji, jasną panienkę ze dwora, Sławę Płozowską. Rzecz prosta, iż autor, odgrywający tu rolę figlarnego Kupidyna, przeszył serca młodych beznadziejną strzałą miłości. Aby zapełnić przepaść, dzielącą dwór od chaty, wyposaża autor swego bohatera w prawdziwie powieściowe losy. Dawny pastuch, po kilku latach wraca do rodzinnej wsi, jako chluba narodu, paryski doktor, londyński laborant, wynalazca, odkrywca i jak się tam te wszystkie tytuły jego do zasługi w pięknych oczach panny Sławy nazywają. Po wielu teatralnych przejściach Numa, rzecz prosta, wychodzi za Pompiljusza.

Miłe to jest i niesłychanie rzewne. Nie trzeba dodawać, iż bohater powieści, to wcielenie wszelkich możliwych i niemożliwych cnót, aż dziw, że autor zatrzymał się z nim tylko na stopniach, wiodących do płozowskiego dworu. Możliwy i wyżej, słusznieby mu się bowiem to należało. Kto ma, jak Jerzy Dębosz, taki talizman w ręce, jak wykopany na rycerskiej mogile miecz tajemniczy, będący w pewnych momentach życia, niby Wilde'owski portret Doriana Grey'a, sumieniem posiadacza, ten w związku już akcji budzi niewzruszoną pewnością, że Sławę bądź co bądź posiędzie.

Powieść Królińskiego jest niefrasobliwą lekturą od poczynku, tak zresztą stosunkowo mało produkowaną w Polsce.



JULJUSZ WERTHEIM.

## O UTWORACH SKRIABINA

### I KOMPOZYTORZE

#### KAROLU SZYMANOWSKIM.

Znakomity nasz muzyk, Juljusz Wertheim, skreślił tę notatkę jeszcze w r. 1904, na kilka miesięcy przed pierwszym wystąpieniem K. Szymanowskiego na szerszej widowni publicznej. Z artykułikiem tym zwrócił się wówczas do jednego z poważniejszych miesięczników, który jednak odmówił mu miejsca. Obecny rozgłos Szymanowskiego stwierdza wymownie, że entuzjazm młodziutkiego wówczas jego kolegi nie był nieuzasadniony. *(Przyp. Red.)*

Wśród młodych kompozytorów ostatniej doby wysoce interesującą postacią jest Skriabin, którego nazwisko, znane i uznane wśród muzyków, obce jest jeszcze dla ogółu muzycznego.

Z dzieł Skriabina, jak dotąd, na pierwszy plan wysuwają się etiudy i preludja fortepianowe. Napisał on 12 etiud i do 60-ciu preludjów; w utworach tych silnie zarysowuje się indywidualność artysty.

Bezwarunkowo jest to talent wielki. Przedewszystkiem płynna inwencja melodyjna, estetycznie brzmiące



nowe harmonje, oraz wytworna, samorodna forma składają się na bogatą całość. Jest w twórczości tej coś nieskończenie subtelnego, w ciekawy sposób kojarzy się w niej prostota odczucia z zupełnie nieznanem dotąd wyrafinowaniem.

Ale nie znaleźć u Skriabina owego wielkiego rozmachu, cechującego gieñjalnych twórców, niema też w utworach jego głębi ducha, stanowiącej jądro utworów pomnikowych. Przedewszystkiem uderza w jego dziełach ogromna muzykalność utworów, poezja zaś, która je opromienia, jest poezją samych tonów, t. j. muzyki, a nie *poezją duszy wielkiego twórcy*.

Prawda, że kompozytor chętnie wybiera formy drobne, lubi pastelowe tony, niekiedy zbliża się w subtelności harmoniczej do Chopina. Przepaść jednak między nimi! Chopin w najdrobniejszej ramie objawia się, jako zakłęty duch czarodziejski, czerpiący swe zaziemskie myśli w mistycznym zdroju. Jest on — poza gieñjalnym muzykiem — owym poetą-człowiekiem, owym duchem-prorokiem. Naokół skroni jego aureola widoczna dla wierzących!

Techniczne kombinacje Skriabina tak pod względem fortepianowym, jak i kompozytorskim, są mistrzowskie; dość wyliczyć etiudę des-dur i gis-moll.

Trudno zaiste orzec: utwory Skriabina nie są szerokie, ale i nie bez rozmachu, niegłębokie, ale i niepłytokie. Twórczość jego jest poniekąd odurzająca: jest ona, jak kwiat tuberozy, ponętna, dziwnie odmienna, ale po pewnym\*) czasie nużąca.

Silny kontrast ze Skriabinem stanowi młody, dotąd nieznanym kompozytor Karol Szymanowski.

Ze szczerego przekonania, czując i przeczuwając,

---

\*) Pisane w r. 1904.

twierdzą, iż K. Szymanowski jest po Chopinie jedynym talentem gieñjalnym w kierunku utworów fortepianowych. Talent jego zjawiskowy należy do owych niepojętych dla mózgu ludzkiego objawów twórczych.

I tak, poza cudowną, bujną, jak wiosna, pomysłowością melodyjną, przedziwną harmonizacją, w subtelności jakoby pobratymczą tylko Chopinowi, przebija w dziełach Szymanowskiego żywiołowy, demoniczny temperament, szlachetna czułość, miękkosć niemal dziecięca *głębokiego* uczucia.

Beethoven powiedział, iż na to, by tworzyć, trzeba być zdolnym do odczuwania silnie, jak mężczyzna, czule, jak kobieta i naiwnie, jak dziecko. Tak też Karol Szymanowski czuje.

Ma on dziwne poczucie miary, tworzy nowe formy, zdolność jego figuracyjna jest olśniewająca. Pomysły w tym kierunku zdają się być jakoby kwiaty fantastyczne. Od czasu Chopina wszelkie figuracje fortepianowe są ubogie, martwe: w talencie Szymanowskiego podwójnie więc w podziw wprawiają.

Świadectwem tego, co tu piszę: preludja i etiudy fortepianowe, ballada, sonata c—moll na fortepian, sonata na fortepian i skrzypce, pieśni, utwory wokalne z towarzyszeniem orkiestry, wreszcie fugi, z których jedna—cis—moll—jest arcydziełem. Trzeba słyszeć, by odczuć, co za niepojęta moc uczucia jest przyobleczona w ową ścisłą formę muzyczną.

W każdym utworze głębia bez dna, beznadziejność, rozpacz, szalona, niczem nieokiełznana namiętnosć, lub też cichy, śmiertelny smutek, tkliwa czułość! Niezmierzony to ocean uczucia, — wieczność w sztuce.

Wielki jest Karol Szymanowski, dziś nieznanym, jutro może zapoznanym, lecz pojutrze—o wiaro młodzieńcza—odczuty i zrozumiany przez wybranych, uwielbiany przez ogół!





ZOFJA RYGIER-NAŁKOWSKA.

## WĘŻE I RÓŻE.

XX.

*Mówiłam sobie; pójdę drogą zasianą  
lotusami... Haricantsa.*

W tym czasie, od ostatniego wieczoru u Modesty, stosunek Marusi do męża zupełnie się zmienił. Była to jakaś męcząca skrucha, chęć zagładzenia win, o których nawet nie wiedział, pokora niezmierna — ale pozbawiona miłosnej słodyczy.

Marusia żyła teraz, wpatrzona w jego oczy, układająca się wzdłuż linii jego kaprysów, jak wierna, cicha woda. Doznawała ulgi, gdy doktor był względem niej niesprawiedliwy, gdy irytował się bez słuszności. Zapisywała to sobie bez szemrania na rachunek ekspijacji za podejrzenia niesprawiedliwe i krzywdzące.

Teraz był to dla niej jedyny człowiek, któremu mogła zawierzyć, jedyny, który jej nie zawiódł, — jak Modesta, — jak tamten, o którym wyobraziła sobie była, że jest człowiekiem honoru... On, Roman, stał się jedynym, któremu mogła ufać. Póki on jest — nieutracony, — wszystko jeszcze jest dobrze, wszystko jeszcze da się naprawić.

Doktor nie zauważył zresztą całej tej zmiany, która zaszła w Marusi. Był zapracowany, roztargniony, pochmurny, jak i dawniej, zdenerwowany ponadto chorobą matki. Pani Orychowa starsza cierpiała na reumatyzm, martwiła się wszystkim i często była rozżalona na syna. Marusia, którą uczyniła powiernicą swych skarg, stawiała w obronie męża, tłumaczyła oględnie jego przewiny, była tą oliwą, która łagodzi siłę tarcia.

Mała Muma chowała się zdrowo, rosła i tyła. Grube jej usta były zawsze otwarte, zezowate źrenice patrzyły pochyło i tępo. Bawiła się z Capem, który jeden nie orjentował się w sytuacji i traktował małą swą panią całkiem na serjo.

Muma miała wewnątrz nieświadomości swojej i tępoty mały świat przelotnych, zwiewnych zainteresowań, niejasnych rozważań i kombinacji. Posługiwała się pewną nieznaczną ilością wyrazów dość celowo, umiała wołać psa, prosić o jedzenie. Sama ustawiała klocki i ubierała lalkę. Cieszyła się na równi z Capem, gdy usłyszała słowa: „idziemy na spacer”. Głosem niskim, grubym, jak u mężczyzny, wołała wtedy: Aha! aha! I Cap skakał koło niej i szczekał.

Niekiedy, po chwili milczącego, skupionego namysłu, porywała się nagle ku matce z wyrazem jakiegoś zamiaru w rozbieżnych źrenicach, z błyskiem decyzji, z ustami, jakby coś ważnego mającemi wymówić. Marusia przychyliła się skwapliwie, aby pochwycić w porę ten sygnał porozumienia—cała od stóp do głowy gotowa do odebrania tego komunikatu, gotowa do przyjęcia na siebie i utrwalenia, jak klisza fotograficzna, tej „wieści znikąd”, wrażliwa i tylko ku temu o tej chwili przeznaczona.

Ale słowa niewyraźne urywały się, twarz Mumy gasła i obojętniała, zanim ręce dotknęły wyciągniętych rąk matki. Na dopytywania się Marusi nie odpowiadała

już nic. Coś, widać, na krótko obudziło się w tym mózgu, coś zabłysło — ale wyczerpało się, zniknęło — zanim zdążyło dojść do głosu. I Muma rozstała się z tem czemś bez żalu, bez wiedzy, — z tą jakąś rzeczą bezcenną, z tą jakąś myślą, odkryciem czy spostrzeżeniem—gościem tak rzadkim w smutnych ciemnościach jej mózgu.

Mijał moment, który Marusi wydawał się niepowetowanym, nieodżałowanym, bezcennym. Muma stała martwa i tępa w jej rękach obejmujących, zanurzona w swoim żalonym, dalekim świecie zubożenia i bezpamięci.

Unikając miejskich parków i ogrodów, Marusia zabierała Mumę na spacer na miasto. Dochodziły zwykle do mostu, który prowadził wysoko ponad wodą uregulowanej rzeki. Przez chwilę patrzyły zgóry na wartki nurt. Uwięziona, dzika rzeka płynęła głucho i posepnie w głębinie cembrowanego łożyska,—bez drzew, kwiatów i żab.

Marusia niechętnie patrzyła dalej — aż tam, gdzie woda, pociemniała od niewoli, przenikała w czarny, okrągły otwór podziemnego kanału — i dalej płynęła pod miastem, kryjomo i potajemnie. Straszne było już samo wyobrażenie tych czeluści i głębin, tych betonowych sklepień, nisko zamkniętych nad czarną wodą.

Muma stała, trzymając się rączkami białych, żelaznych prętów barjery. Pręty znajdowały się zupełnie blisko jeden od drugiego, i Marusia uspakajała samą siebie, że niema przecież żadnego niebezpieczeństwa. Mimo to denerwowało ją nawet, gdy biegający tu i owdzie Cap przetykał białą mordę przez otwory poręczy. Dreszczem przejmowało ją nie to, że mógłby wpaść do rzeki i utonąć, ale że musiałby popłynąć z prądem i dostać się do czarnej szyi kanału.

Lubiła dawniej tę drogę i chętnie chodziła dalej w stronę wzgórz i lasów. Teraz wracała zawsze pod

przykrem wrażeniem obaw nieuzasadnionych, niepokojów i przywidzeń.

Kiedyś, powracając od mostu w stronę miasta, ujrzała, że przed wrotami pola wyścigowego stoi pan Czarościański. Był w towarzystwie paru jeszcze panów o podobnie sportowym wyglądzie.

Nagle przypomnienie ostatniego spotkania u Modesty przejęło ją wstrętem i przykrością. Marzyła o tem, aby niedostrzeżona przejść. Ale zobaczyła, że ją ujrzał, zobaczyła, jak pobladł, zanim jeszcze zdążył się uklonić. Ze wstrętu wyłoniło się ostre, mściwe uczucie. Była pewna, że mu się nie odkloni, że właśnie okaże mu teraz swe obrzydzenie i wzgardę.

Jednakże odkloniła się skwapliwie — z paradoksalną obawą, aby czasem nie domyślił się, że miała mu za złe tamto, aby nie odgadł, jak głęboko wstrząsnął nią ów efekt, inscenizowany przez Modestę. Odkłoniła się grzecznie — prawie na złość sobie, i widziała, jak — wciąż dziwnie blady — odłącza się od tamtej grupy i szybko idzie na przeciwko niej.

Powitał ją, Mumę i nawet Capa, który, radośnie skacząc i poszczekując, piętnował jego ubranie pięćczołnkami śladami zabłoconych swych podeszew.

— Pan nie był u nas tak dawno, — odezwała się Marusia bez sensu. — Dlaczego pan nie przychodzi?

— Wyjeżdżałem na jakiś czas z miasta — odrzekł prędko, zaledwie dowierzając jej słowom. — Musiałem wyjechać nagle — tam do siebie...

Marusia czuła, że on odgaduje w niej zmieszanie i zdawkowość.

— Mąż nawet pytał parę razy, co to jest, że pana nie widać — kłamała bez zajknięcia.

Wydawało jej się wreszcie, że dość już uprzejmości, i sądziła, że teraz właśnie chłodno go pożegna. Ale wbrew

chęci szła z nim dalej—ku dorożce, która widniała w perspektywie ulicy.

Gdy wymijali grupę panów, zauważyła, że kłania jej się jeszcze ktoś znajomy. Szła, jak przez różgi, wlokąc za rękę potworną Mumę, od stóp do głowy odzianą biało, w okularach i błękitnych kokardach nad uszami.—Kłaniający się pan był to zięć pani Oliwnej, gruby i wesoły Benedykt Flank, również miłośnik namiętnej koni i wyścigów.

Czarostański przyrzekł, że przyjdzie, i odprowadził znękaną Marusię aż do dorożki.

## XXI.

*Tedy Juda i Izrael, będąc niezliczeni, jako  
piasek, który jest nad morzem w mnóstwie,  
jedli i pili i weselili się.*

*Księgi Królewskie.*

— Ja ją zabiję — pomyślała znowu Marusia i przymknęła powieki, jak ktoś, co zapada w marzenie.

Oddawna już nie znajdowała się w tak dużej gromadzie ludzkiej. Przyszła, ponieważ chciał tego mąż. Godziła się na wszystko uległej, niż kiedykolwiek, i wypełniała w tym czasie niezmiernie całe mnóstwo obowiązków towarzyskich.

Obiad proszony u państwa Oliwnych miał charakter uroczystości rodzinnej. Inwitując Marusię, pani Oliwna dawała poniekąd do zrozumienia, że na zebraniu zajdzie coś ważniejszego. Istotnie, od czasu pomyślnych zaręczyn Lii, zaczęto knuć w rodzinie nowy marjaż. Punktem wyjścia były znaczne trudności pedagogiczne, wynikające przy roztaczaniu opieki nad nieletnią Raissą Benomi, oraz chęć zatrzymania nadal jej posagu w rodzinnym banku

Szymona Oliwnego i Synów. Wybór padł na jednego z Oliwnych, blizkiego kuzyna Raissy, dla niewiadomych przyczyn trwającego uporczywie aż dotąd w stanie bezżennym — pomimo upodobań domatorskich, poprawnych obyczajów, a nawet siwych włosów. Przemawiało za nim to jeszcze, że miał na imię Zdzisław, oraz że przedstawiał, dzięki znacznym sukcesjom po rodzinie swej matki, największą pozycję finansową pośród „młodszeo” pokolenia Oliwnych. Selekcja odbywała się tedy prawidłowo, na zasadzie magnetyzmu metali szlachetnych.

Raissa oczywiście kaprysiła, ale nikt nie brał tego na serjo. Ważniejsze było zjednanie dla tej sprawy samego kandydata, na którym od niepamiętnych lat łamały sobie zęby najdoświadczeńsze swatki. Utrudniał sytuację dziecięcy niemal wiek Raissy, oraz jej powierzchowność, która poprostu nie podobała się kuzynowi. Trudności te jednak uznano za do przewyciężenia.

W rozległym salonie zebrało się bardzo wiele osób z rodziny, powiadomionych mniej więcej o mającem nastąpić. Pomimo pewnych aspiracji w kierunku sztywności form towarzyskich, nastrój był ożywiony i hałaśliwy. Wszyscy obecni byli ze sobą poniekąd spokrewnieni, wszyscy czuli się *en famille* — i to upoważniało do poufałości. Kobiety w stosunku do kuzynów dziesiątej wody po kisielu, do mężczyzn, za ledwie zdała spowinowaconych, zachowywały się tak swobodnie, jakby to byli rodzeni bracia. Na powitanie całowały się z nimi w usta, pozwalały się obejmować i z żartów siadały im na kolanach.

Za to Raissa, emablowana dość powściągliwie przez swiego kuzyna, przyjmowała jego asystę z posępnym chłodem. Zdaniem obserwujących nie zanosilo się na nic.

Gdy wszyscy wstali, powstała także Marusia. Zaczął się regularny pochód na salę jadalną. Wsparta o ramię



Gabryjela Oliwnego, Marusia zobaczyła teraz dopiero Ernestynę, z którą nie przywitała się dotąd. Szła tuż za Marusią, prowadzona przez grubego pana Flanka. Nie przestając iść, Marusia witała ich oboje i zaraz przypomniała sobie, że niedawno spotkała tego pana przed wrotami placu wyścigów.

Ponieważ wspomnienie tamtejszego spotkania było dla niej kłopotliwe, więc oczywiście zaczęła o niem mówić.

— Nie wiedziałam wcale, że panowie się znają. Gdzież pan poznał tego pana Czarostańskiego?

— O, jesteśmy nawet w przyjaźni. Spotkałem go kiedyś u pani Uhmińskiej, zdaje się. I już odtąd — —

— U Modesty?!—zdumiała się niewiadomo dlaczego Marusia.

— No tak—pośpieszył uspokoić ją pan Flank.—Ona także kocha się w antykach. Ja czasami kupowałem od niej starożytności — —

— Starożytności! — parsknęła Lia, wtykając głowę między ramiona Flanka i Ernestyny. — W takim razie ciotka Roma wcale niepotrzebnie była taka zazdrosna —

Już gdy zasiadano do stołu, zjawił się rodzinny patrijarcha, stary Szymon Oliwny. Zawsze niechlujnie odziany, jakby niecałkiem hermetycznie dopięty, cały pogniczony i brudny, jeszcze z niemiecka mówiący, wydawał się wtrójnasób starszy od swej świetnej żony, a zarazem nierównie gorzej sytuowany społecznie i finansowo.

Gdy tylko wszedł, damy zaczęły się prześcigać w okazywaniu mu czułości i uwielbienia. Trudno było uwierzyć, z jakimi honorami odnosiło się do tego niepozornego, żółtego od cygar, ohydnie jedzącego, chorego na oczy i wogóle ze wszech miar plugawego starowiny, całe to strojne towarzystwo. Wszystkie córki, siostrzenice, synowe, wnuczki całowały go na powitanie, chyliły wybrylantowane, świetne szeweljury do jego brudnych rąk.

Nienagannie odziani zięciowie, o mańjerach, studjowanych metodycznie po pałace-hotelach Riwieri, Ostendy i szczególnie Karlsbadu, milkli z pietyzmem, gdy starzec zabierał głos i chrapliwie, łykając jedzenie i palcami ocierając obfitą na wargach ślinę, mozolnie wydębiał ze siebie jakieś głupstwo.

Widziało się tu, że całe to państwo Oliwne, wyrosło z niego. Że z posagów, przez niego płaconych, z posad, stanowisk i kapitałów, którymi obdarzał zięciów, synów, bratanków—że z niego tylko była świetność, te sa-jety, te brylanty, futra, perły, koronki, mańjery i nawyknienia. Wszystko tu jego było dziełem—i chociaż przeszło twórcę, oddawało mu cześć, zawsze pamiętne na jego zasługi.

Z podziwieniem patrzyła Marusia, jak odnosił się do niego młody milioner berliński, narzeczony dorodnej Lii, z jaką estymą wysłuchiwał od tego dziada trywialnych żarcików i winszunków dwuznacznych na temat świetnie uczynionego wyboru. Ten pan o twarzy suchej, i rasowej, nieposzlakowanej twarzy wielkobrytańskiego sira, o dłoniach wypieszczonych i powierzchowności bez zarzutu, literalnie giął się w czołobitnościach przed nie-miłym staruszką, uśmiechał się, gdy na to liczono, i taktownie przekomarzał—z widoczną chęcią wydania się przyjemnym. Szukając obrony przed zaczepkami krótkowilnego patryjarchy, powoływał się nawet na symbolikę apokaliptyczną, w której rogi oznaczają zawsze władzę królewską, nie zaś niepowodzenia, w pożyciu matrymońjalnem. Stary jednak nie dał się ugłaskać i ku uciesze całego stołu głośno konkludował:

— *Wirst was kōnigliches'ns Bett hab'n...*

Obfita uczta miała się już ku końcowi, gdy nagle Raissa zerwała się od boku sąsiada i swoim zwyczajem, bez dającej się na razie stwierdzić przyczyny, w łzach

opuściła zebranie. Incydent ten sprawił na chwilę niejaki zamieszanie. Pan Zdzisław Oliwny śmiał się nazbyt skwapliwie ze swego niepowodzenia i coś najbliższym sąsiadom szczegółowo wyjaśniał. Pani Szymonowa Oliwna, naprawdę stropiona, pobieżnie przeprosiła biesiadników i podążyła w ślad za niepoprawną siostrzenicą.

Taktowna Mina i tym razem łagodziła sytuację.

— Ona jest taka nerwowa, że płacze o byle co — mówiła swym głosem miękkim i melodyjnym. — Mama zanadto ją rozpieściła. Pamiętasz, Gabryjel, z tymi bankami — zwróciła się do męża poprzez stół. I dalej mówiła w stronę Marusi: — Jak raz mój Loluś (słodki dzieciak), puszczał bańki mydlane, to mój mąż powiada: co za szczęście, że Raissy niema, onaby się zaraz rozplakała, że bańki pękają — —

Pani Oliwna powróciła z nadzwyczaj pogodnym wyrazem twarzy. Oczywiście: nic znów takiego! Raissie zrobiło się trochę niedobrze, bo napiła się wina, a nie jest do tego przyzwyczajona. Położyła się na chwilę i zaraz przyjdzie.

Kuzynek Zdzisław uśmiechał się lekceważąco i z apetytem konsumował dalsze dania. We wspaniałych oczach pani Oliwnej sztuczne ognie zagasały powoli, chociaż wprawne usta mężnym uśmiechem odpowiadały na uśmiech krnąbrnego bratanka.

## XXII.

*All charming people, I fancy, are spoiled. It is the secret of their attraction.*

Gdy powstano od stołu, pan Szymon Oliwny, zajął się wyłącznie osobą doktora Orycha.

— Pozwól pan, ja panu coś pokażę — kusił, wodząc go za sobą po rozległościach mieszkania ku jakimś wielkim szafom bibliotecznym.—Pozwól pan! To pan nie wszędzie możesz zobaczyć. — —

W suchych, żółtych i dygocących rękach ukazywał mu przedmiot niepozorny.

— Rodały—wyrzekł i umilkł.

Doktor przyglądał się z ogromnym szacunkiem; nie znając jednak przeznaczenia ani wagi przedmiotu, zachował milczenie powściągliwe i z rezerwą czekał komentarzy.

— Rodały—powtórzył starszek.—Pan nie wiesz, co to jest?—Tu pan masz na tych dwóch drzewinkach z cedrowego drzewa nawinięty cały Pięcioksiąg Mojżesza, przepisany ręcznie na pergaminie. Literki pan masz takie drobne, że to pan możesz czytać tylko przez szkło powiększające. Musisz pau wiedzieć, że tu niema ani jednej pomyłki, rozumiesz mnie pan. Każda literka jest wypieszczona. Taką rzecz,—musisz pan wiedzieć,— przepisuje człowiek religijny, który to pisze, poszcząc. I na tę robotę to on traci połowę swojego życia — — Taka sztuka kosztuje głupie dziesięć tysięcy rubli, to pan nie wszędzie możesz zobaczyć —

— Przepraszam, że przeszkadzam panom, — rzekła pani Oliwna, wchodząc. I z uśmiechem, ociekającym płynną słodyczą, mówiła do Orycha:—Raissa prosi na chwilę pana doktora. Dotąd nie może się uspokoić, zdaje się nawet, że ma spazmy. Dałam jej tych kropli, co zwykle, ale nie pomogło — — Sama już nie wiem doprawdy, co z nią robić...

Doktor natychmiast przybrał wyraz twarzy oficjalny, jak człowiek, przejęty poczuciem odpowiedzialności w zakresie swego zawodu.—Pan wybacz — — rzucił w stronę

Oliwnego, który pozostał na miejscu razem ze swymi rodającymi.

Przed drzwiami pokoju Raissy pani Oliwna cofnęła się, umywając niejako ręce.

Raissa siedziała spokojnie na jakimś białym meblu w pobliżu okna. Na przychodzącego popatrzyła zupełnie suchymi oczami—bez śladu łez. Błękit tych oczu wydawał się teraz tak jasnym, jakgdyby można było przez nie patrzeć „na drugą stronę“.

— Cóż to panienka znów wyprawia, — rzekł zwykłym tonem jowialnego lekarza.

Chciał wziąć ją z puls, ale odsunęła się niechętnie.

— Nic mi nie jest, — rzekła chmurnie. — Tylko mam ich już dosyć na dzień dzisiejszy i za nic w świecie nie wrócę do salonu. Niech mnie pan nawet nie namawia. — Ciocia może sobie stanąć na głowie, a ja nie wrócę —

— Cóż oni pani zrobili?—pytał współczująco Orych, siadając naprzeciwko.

— Pan nie wie? oni chcą, żebym ja wyszła za mąż za tego mojego starego kuzyna. Pan go widział?—On rzeczywiście jest bardzo bogaty, ale ja nie mam potrzeby się sprzedawać... On jest nietylko stary, ale jeszcze głupi, łakomy i okropnie skąpy. To też mu powiedziałam—zaśmiała się—powiedziałam — —

— Nikt pani chyba nie zmusza —

— Och, od dwóch miesięcy nie dają mi spokoju. Najzabawniejsze, że nawet ja się jemu wcale nie podobam. I te jest takie bezwstydne. On przecież doskonale wie, skąd są te moje pieniądze. Wiedział napewno wcześniej daleko, niż ja... To właśnie mu powiedziałam. Chciałam żeby się przecież przyznał, że wie, skąd się tu wzięłam, skąd cała ta fuszerka — i ojciec, który przysyła perły, perły — i złoto i który — kiedyś może zatęskni i zaprag-

nie mię tutaj odwiedzić... Przecież nietylko ci, co handlują suszonymi owocami, mają uczucia ojcowskie — —

— Nie rozumiem...

— Pan nie rozumie — — Jakby tu panu powiedzieć, bo to jest *shocking*... Czytałam raz taką zabawną nowelkę Alejchema, znakomita rozmowa dwóch w wagonie. O celu podróży, o losach życiowych, o powodzeniu w interesach. Dopiero na końcu: ale czymże pan handluje do licha? — Ha, ha! Nie książkami do nabożeństwa, przyjacielu, handluję, i nie suszonymi owocami — —

Doktór z niekłamaną przykrością słuchał tych słów, wymawianych przez śliczne, małe usta dziecinne.

Wiadomość nie była dla niego nowiną. Wolałby jednak był nie od Raissy się dowiedzieć, że pogłoski, które dochodziły go oddawna, zawierają tak wiele prawdy.

— Pan myśli, że to jest dla mnie dramat, — mówiła ku tem większej jego przykrości, hardością tonu odgradzając się od wszelkich symptomatów współczucia. — Nie, nie. Może na razie, gdy dowiedziałam się o tem, gdy uwierzyłam... Lia była taka ścisła w tych wyjaśnieniach... Wtedy nawet przez czas pewien przemyślałam nad tem tylko, jak się zabić. Ale teraz już nie, o, nie. Teraz miałabym do tego powody znacznie poważniejsze — —

— Do czego — ?

— No, właśnie do tego, żeby się zabić... Och, tylko niechże pan tego nie bierze na serjo, — zawołała, śmiejąc się. — „Albowiem — chwalimy śmierć, ale kochamy życie“ — —

— I jakież to są te przyczyny? — pytał profesjonalnym tonem, jakby zbierając dane anamnezy.

— Jakież? — — uśmiechnęła się znowu, zapuszczając na oczy kędziory rzęs. — Jeszcze coś panu opowiem: kiedy Mahomet zdobył jakąś tam fortecę koraiditów, to oczywiście wszystkich Żydów skazał na śmierć, a kobiety

i dzieci wziął do niewoli. Najpiękniejszą z tych niewolnic żydowskich była Rihana, i prorok wybrał ją sobie na żonę. Ona zaś nie chciała akceptować tego flatującego wyróżnienia, nienawidziła wroga swego ludu, inowiercy i okrutnika — jak przystało. Ale niedługo utrzymała się w tej roli. Zmieniła wyznanie i została policzona między żony proroka, poczem kochała go wiernie i gorąco. Jej nienawiść zmieniła się na miłość. Przepraszam, jeżeli pana nudzę — ale to przecież jest ładne, — mówiła ze szczególną naiwnością, która znów wydała się przykrą doktorowi. — Niechaj mi pan przyzna, że to jest jakieś przerażająco powabne — i nawet straszne, kiedy taka nienawiść przekreśla się o jakiejś jednej chwili — w miłość i pokorę — —

Doktorowi nasuwały się łatwe i zupełnie już gotowe asocjacje. Zaczął coś mówić o wielowiekowym poddaństwie kobiety, o śladach, które pozostawiło na jej psychice. Jednakże nowoczesna, wyzwolona kobieta, uświadomiona o swej godności człowieczej — — —

Raissa słuchała w milczeniu i, nie podnosząc powiek, uśmiechała się dziwnym, wybacającym uśmiechem — uśmiechem pokoleń zdegenerowanych wobec parweńjusa kultury.

Gdy wreszcie skończył, powoli podniosła ku niemu oczy.

— Nie chcę nic ukrywać przed panem — zaczęła niepewnie. — Chociaż mogę utracić przez to wiele, bardzo wiele — bo to nawet, czego nie mam wcale. A jednak chcę — mimo to, że pan jest taki szlachetny i że pan wcale nie jest wyrozumiały — —

Po twarzy doktora Orycha przemknął wyraz niepokoju. Miłosne zwierzenia histerycznych pacjentek nie były mu najmiłą postacią tryumfów erotycznych.

— Jestem inna, niż te wszystkie tutaj kobiety. Ra-  
Sfinks. 9

dują mię i smucą zupełnie inne rzeczy. Jestem zepsuta, zepsuta strasznie. Wiem wszystko. Jestem gorsza od najgorszych kobiet, chociaż o tem nikt nie wie. Mam gust zwyrodniały. Nie lubię natury, nie lubię zwierząt, nie lubię zapachu kwiatów, bo mię mdli. Zato przepadam za zapachem kamieni, za zapachem wody. I lubię także zapach gorącego asfaltu — —

— To wszystko jest do wybaczenia, — rzekł doktor, prawie zupełnie uspokojony.

— Ja nie wiem, jak to powiedzieć — — ale jedno takie opowiadanie, — to z Mahometem i Rihaną, — staje się później dla mnie całym światem. Zawdzięczam mu nieskończone godziny upajającego marzenia — chociaż to jest straszne, gdy pomyśleć, to jest takie nikczemne... Ale istnieje jakieś miejsce w myślach, w uczuciu, kiedy się oburzenie zmienia w szczególną przyjemność... To straszne jest, że ja to mówię — — Pan patrzy pewno na mnie, jak na okaz kliniczny—prawda? Ja wiem, że budzę odrazę,—ciągnęła, nie słuchając zaprzeczeń,—ale to się wydaje okropnem tylko dlatego, że ja to *nazywam*. Jestem zepsuta, ale nie jestem zła. I nie jestem szczęśliwa. Nie robię przecież nic z tego, o czem marzę — — W domu uważają nawet, że jestem przesadnie dobra — tylko rozgrymaszona, — bo nie zabijam żadnych zwierząt i daję pieniądze żebrakom...

Raissa skrzywiła się ironicznie

— Nie to jest największą tajemnicą, jak się kochają ludzie i zwierzęta. Dawno już wiem to najstraszniejsze: że miłość jest rozkoszą. Ale istnieje druga, sto razy gorsza tajemnica, która schowana jest głęboko pod życiem i nakryta wieloma innymi rzeczami, — to to, że rozkoszą także jest okrucieństwo. Rozkoszą jest męka cudza albo własne poniżenie.— — Ja wiem, wiem: to nie dla wszyst-



kich. Ale ci, co tego doznają, wiedzą, że to jest najważniejsza rzecz w życiu, o którą rozbija się całe marzenie o przyszłej doskonałości człowieka. Z początku myślałam, że może to jest tylko atawistyczne, dzikie, przypadkowe. Ale nie. To się wzmacnia równoległe z wysubtelnieniem uczuciowem, z wrażliwością i delikatnością, to jest bardzo dalekie od wieczności. — Są osoby, które nie mogą patrzeć na krew — nie ze wstrętu, ale dlatego, że nie mogą znieść rozkoszy, która jest w wachaniu krwi. Niektórzy nie mogą polować, — ci najwrażliwsi, — bo raz widzieli łzy sarny umierającej albo słyszeli, że zając krzyczy, jak dziecko. To nie ze smutku wcale, ani nie ze współczucia,—to z przerażenia przed dreszczem tej rozkoszy, która przechodzi siły ludzkie... Ona jest jakiegoś strasznego, śmiertelnego gatunku — i człowiek nie może poddać się jej, przenieść jej całej na siebie... Od pierwszego dreszczu otrząsa się i ucieka, zawraca zaraz od progu tego przerażającego państwa... Och, wszyscy to wiedzą, wszyscy mniej lub więcej przeczuwają. Ale nie przyzna się nikt. Każdy tylko się oburzy — — Bo to jest to najskrytsze w człowieku, to jest najwstydlivszy kąt duszy... W każdym napewno jest to wszystko już gotowe, tylko rozwija się bardziej jedno lub inne. Właśnie dobrzy mają w sobie dużo zła. Mają ochotę się zemścić, a nie mszczą się, mają ochotę skrzywdzić, a za to uszczęśliwiają. Niema dobrego czynu bez jakiegoś przewyciężenia — i w tym właśnie upokorzeniu swego instynktu jest owa benthamowska, perwersyjna, egoistyczna przyjemność wszelkiej ofiary. — Wszelka inna dobroć wynika tylko z roztargnienia albo z głupoty—i jest jeszcze mniej warta od tamtej, bo nic nie kosztuje.

Doktor patrzył na mówiącą z niejakim zaciekawieniem natury raczej etnograficznej. „Żydówka“, myślał o niej, jak o reprezentantce jakiegoś egzotycznego szcze-

pu. „Żydówka“... Co za temperament chorobliwy w tej wątliźnie, pożeranej przez bladaczkę, nerwicę i skrofulozę... Jakie one są lubieżne nawet wtedy, kiedy myślą... Rasowa skłonność do doszukiwania się wszędzie grzechu, perwersji i zmysłowości — niezbyt zresztą niepokojąca. Niech tylko ta mała wyjdzie za mąż i zacznie rodzić dzieci, zaraz zrobi się tłąstą, białą i spokojną, jak wszystkie tamte w salonie“.

Raissa przykładła wierzch dłoni do gorących, chudych policzków. Źrenice jej były teraz, jak światło, palące się poza rzęsami.

— Nie robię przecież nic z tego, o czym marzę,— powtórzyła powoli. — I nie jestem szczęśliwa... Pan wie, ja nie mogę tu już dłużej pozostać — —

— Dlaczego?

— Oni mi nie darują zepsucia ich planu. Przecież to jedyny cel, dla którego mię tu wzięli—pomimo wszystko, pomimo—tę hańbę. Inaczej nie przedstawiam dla nich wartości. Strzegli mię przecież, jak oka w głowie... Jeżeli tu zostanę, to aż do dojścia do pełnoletności będę od nich zależna, będę w zupełnej niewoli — — Mam tylko dwie drogi. Jeżeli nie wyjdę za tego Oliwnego, to będę musiała — —

Raissa zacięła się na chwilę.

— Będę musiała — wrócić do ojca —

— Tego pani przecież nie zrobi — oburzył się doktor. — Już lepiej — —

— Co lepiej — ?

Wydało mu się, że popatrzyła na niego surowo, więc nie dokończył. Ponieważ milczała, znowu po chwili wrócił do niej spojrzeniem i skonstatował nie po raz pierwszy dzisiaj, jak dziwacznie jest ładna. Ale tym razem chora czerwień jej ust i mdlejące poza rzęsami światło

żrenic przejęły go niepokojem. Męka była w tych oczach, w zapleceniu rąk.

— Myślałam, że pan mi jakoś w tem wszystkim pomoże. Sama nie wiem, czemu tak sobie wyobraziłam — — Ale to nic, to dobrze, że powiedziałam panu wszystko. Bo teraz już mogę wyznać to najważniejsze — —

Pochyliła się i zblizka zajrzała do jego oczów — szukając zachęty, czy choćby upoważnienia. Znalazła widocznie, bo uśmiechnęła się bezwładnie, męcząco. Nie zdziwiła się wcale, gdy objął ją gwałtownie i przyciągnął do siebie. Sposobem dziewczycym podała do pocałunku usta suche i mocno zamknięte.

*(Ciąg dalszy nastąpi).*



## WRAŻENIA MUZYCZNE.



(Rozpoczęcie sezonu operowego)

Tegoroczny sezon operowy rozpoczął się 28-go września „Halką” Moniuszki, w której zadebiutował, jako dyrygent, zaproszony niedawno kapelmistrz, p. Adam Dołżycki, który dotąd przebywał w Berlinie.

Występ ten bardzo udatny, o czem poniżej, sprawił pewną sensację w kołach muzycznych i wśród szerszej publiczności, gdyż, jak wiadomo, dział opery polskiej był u nas przez czas dłuższy zaniedbany, więc zaangażowanie młodego, utalentowanego kapelmistrza, który w tym właśnie zakresie będzie przeważnie pracował, uważać można za chęć naprawienia dotychczasowych stosunków. Chcemy wierzyć, iż przypuszczenia nasze sprawdzą się w zupełności, do czego upoważnia nas inauguracyjne przedstawienie „Halki“, która dzięki energicznym wysiłkom p. Dołżyckiego, przybrała zupełnie odmienne cechy artystyczne, niespotykane oddawna na scenie warszawskiej.

Możnaby oczywiście niektóre szczegóły zakwestjonować, np. zbyt wolne tempo w ustępach lirycznych, traktowanych trochę za sentymentalnie, jednak wobec wielu stron dodatnich, drobne usterki schodzą na plan dalszy.

Wspomnijmy więc najpierw o doskonałym wykonaniu całości, którą młody kapelmistrz wystudjował nad-

zwyczaj starannie, składając dowody pracy inteligentnej, poniekąd twórczej, gdyż potrafił wydobyć z partytury ogólnie znanej wiele szczegółów, które dotąd ginęły niepostrzeżenie w chaosie tradycyjnego niedbalstwa. Następnie zwróćmy uwagę na odmienne traktowanie niektórych momentów pod względem frazowania. Piękne chóry w trzecim akcie wyróżniały się zwłaszcza niezwykle subtelnem zastosowaniem odcieni dynamicznych i żywą ekspresją, em trudniejszą do osiągnięcia, że nasz chór operowy nie stoi na zbyt wysokim poziomie artystycznym. Dodajmy wreszcie, że p. Dołżycki posiada już sporo doświadczenia i pewną rutynę, oraz, jak sądzić możemy z wystawienia „Halki“, prawdziwy zapał do poważnej pracy artystycznej, słowem wszelkie dane, by stać się owym mężem opatrnościowym, który wyprowadzi operę polską z niewoli niedołożonej tradycji i upadku.

Pierwszy kapelmistrz i dyrektor muzyczny naszej opery, p. Piotr Cimini, wznowił niegrane od bardzo dawna „Walkirje“ Wagnera.

Znając już doskonale mówczą wprost pracę utalentowanego dyrygenta i jego sumiennosc artystyczną, której niejednokrotnie złożył dowody, byliśmy pewni powodzenia w granicach dla naszej sceny możliwych. Musimy bowiem wziąć pod uwagę trudne warunki opery warszawskiej, niezawsze rozporządzającej wykonawcami odpowiednimi do partji wagnerowskich, posiadającej przytem trochę za słabą, chociaż złożoną z wytrawnych muzyków orkiestrę (kwartet) i chór, niezawsze stojący na wysokości zadania.

Czynniki powyższe nie brane są widocznie w rachubę przez niektórych naszych surowych zoilów, którzy po każdym widowisku wagnerowskiem ciskają potężne gro-my na p. Cimini'ego, widząc w nim jedyne go sprawcę wszelkich rzeczywistych i urojonych braków. Bez wąpię-

nia nikt wszechstronnym być nie może, nie jest więc nim i p. Cimini, który odczuwa głębiej żywą, namiętą muzykę włoską, interpretowaną przezeń przepysznie, niż wspałała, pełną powagi muzykę Wagnera. Jednak i w tym zakresie, dzięki wytrwałej pracy, można stwierdzić ogromny postęp u naszego dyrektora, który w „Lohengrinie“ (obniżyły ogromnie wrażenie chóry), następnie w „Tannhäuserze“ dał całość bardzo starannie opracowaną, wywierającą głębsze wrażenie, w wystawionych zaś świeżo „Walkirjach“ wznosił się jeszcze wyżej, utrzymując całość kształtu wykonania na poziomie artystycznym, doprowadzonym do możliwych w naszych warunkach granic.

Nie zadowolili to oczywiście naszych wielkich znawców, nie zadowolili również pretendentów do pulpitu kapelmistrzowskiego, przy którym stoi p. Cimini, gdyż — pobłażliwi dla siebie — stawiają innym jaknajbardziej wygórowane żądania. Wypływa jednak z tego wielka krzywda dla naszej muzyki. Jeżeli bowiem chcemy, żeby dzieła Wagnera, pożądane przez miłośników sztuki, ugruntowały się na naszej scenie, musimy bezwarunkowo być pobłażliwsi w naszych sądach i nie stawiać niemożliwych na razie do urzeczywistnienia. Trzeba być wyrozumiałym na wiele szczegółów i zachęcać raczej publiczność, nieprzyzwyczajoną jeszcze do wymagającej pewnego wysiку muzyki Wagnera, niż zniechęcać i odciągać od teatru zbyt ostrym sądem. Inaczej — wobec zniechęcania naszej publiczności — starania dyrekcji opery, wystawiającej coraz częściej arcydzieła Mistrza z Bayreuth, pójdą na marne i repertuar z konieczności zacznie znów obracać się w zaczarowanym kole starych, ogranych aż do znudzenia oper, sprowadzających jednak do sali licznych słuchaczy. Sądzę, że nietylko u nas, lecz i na innych scenach, gdy czynano wprowadzać Wagnera, nie można było osiągnąć od razu idealnego wykonania, i sporo upłynęło czasu, za-

nim udało się pokonać różne trudności. I my więc musimy przetrwać okres podobny, w nadziei, że dotychczasowe warunki poprawią się stopniowo i dzieła Wagnera zajmą w repertuarze naszej opery miejsce właściwe, ukazując się coraz częściej i w coraz lepszym wykonaniu.

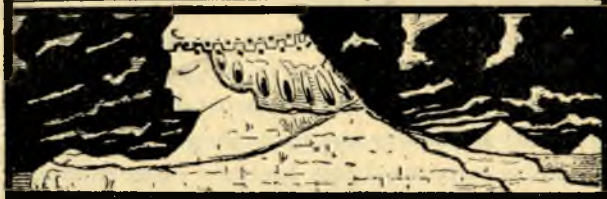
Siły wokalne w „Halce“ pozostały te same, co dotąd, z wyjątkiem nowozaangażowanego tenora, p. Leona Geitlera, który odtworzył rolę Jontka z powodzeniem, śpiewając ją całą z dużym uczuciem po polsku (p. Geitler jest z pochodzenia Czechem). W „Walkirjach“ zaś uczestniczyli p.p. Hanna Skwarecka (Zyglinda), Leońja Ogrodzka (Brunhilda), Jadwiga Lachowska (Fryka), Ignacy Dygas (światny Zygmunt), Marjan Palewicz (Wotan), Adam Ostrowski (Hunding), oraz p.p. Mechówna, Tracewska, Rogowska, Piryńska, Zdanowiczówna, Krzyżanowska, Frenklówna i Mroczkowska (Walkirje), którzy tworzyli zespół artystyczny.

Prócz wznowienia „Walkirji“ repertuar zapowiada: „Requiem“ Verdi'ego (pierwszy raz) z powodu setnej rocznicy urodzin tego kompozytora (9-go października 1813-go roku), „Wally“ Catalani'ego (pierwszy raz), „Mignon“ Thomasa (wznowienie), „Meduzę“ Różyckiego (wznowienie, dopełnione przez autora), „Żydówkę“ Halevy'ego (wznowienie), „Powracająca baśń“ Skirmunta (pierwszy raz), „Jadwigę“ Dopplera (wznowienie) i „Parsifala“ Wagnera (pierwszy raz).

Projektowane są nadto gościnne występy wielu wybitnych sił śpiewaczych (Aleksandrowiczówna, Korolewicz-Waydowa, Ślezak, Bakłanow, Didur i t. d.), czeka więc nas w operze dużo miłych wrażeń artystycznych.

A. ZABŁOCKI.

## MOMENTY POLITYCZNE.



### I.

#### Wojna na Bałkanach. Widoki pokoju.

Polityka europejska, wchodząc po raz pierwszy do programu „Sfinksa“, jest niezbędnym tego programu uzupełnieniem. Bieżące zadania i kierunki polityczne związane są jak najściślej z całym ruchem życia społecznego, oddziałują też potężnie na twórczość literacką i artystyczną takich wybitnych talentów, jak Żeromski, Sieroszewski, Gabriele d'Annunzio, Rudyard Kipling i tylu innych.

W sprawozdaniach niniejszych o głównych momentach wszechświatowej akcji politycznej będę się starał zawsze i wszędzie, w każdym czasie i w każdej kwestji doszukiwać naszego, polskiego interesu. Jestem przekonany, że temu interesowi winny być podporządkowane wszystkie inne.

Mówiono o nas, że w uczuciowości często przebieramy miarę, że po chwilach nadzwyczajnego zapału przechodzimy za jednym razem w ruch odwrotny. Wytykano nam wybuchy niezadowolenia, irytacji, gniewu, rozczarowania. Czyżby to miały być wady nieuleczalne? Jeżeli myliliśmy się nieraz, czy zawsze mamy błędzić i czy stra-



ciliśmy przez to prawo poprawienia naszych błędów, lub oskarżania innych, że nas oszukali?

Objawy powyższe pochodzą w znacznej części stąd, że niekiedy zbyt wiele nadziei przywiązywaliśmy do pewnych ludzi i ludów—więcej, niż oni nam dać mogli, lub chcieli. Oni przedewszystkiem myślą o sobie; my musimy czynić tak samo.

\* \* \*

W szeregu wypadków politycznych ubiegłego miesiąca, oprócz przemijających faktów, należących do kroniki codziennej, były także wydarzenia, przedstawiające zarody nowych linii najbliższego rozwoju. Przebieg kompromisowego porozumienia Polaków z Rusinami galicyjskimi, zwrot w socjalizmie niemieckim, ujawniony po śmierci Bebel'a, inauguracja nowej polityki handlowej prezydenta Wilson'a, Home Rule irlandzki i rewolucyjna opozycja Ulsteru—są to kwestje, któremi niejednokrotnie zajmując się wypadnie.

Najbardziej jednak aktualnym momentem polityki europejskiej, zbliżka nas obchodzącym, jest wpływ wojen bałkańskich na ogólną sytuację międzynarodową, a zwłaszcza na sytuację tych państw, których najważniejsze postulaty akcji zewnętrznej leżą na Blizkim Wschodzie.

W tej stronie umiejscowiony jest mianowicie jeden z trzech wielkich antagonizmów, stawiających obecnie nieuniknioną podstawę zasadniczą, na której opierać się muszą wszelkie rezonowania i kalkulacje w zakresie polityki europejskiej.

Najmniej czynny w tej chwili, po kulminacyjnym natężeniu w r. 1911, jest antagonizm niemiecko-brytański. Złagodzenie jego ostrości nastąpiło z różnych przyczyn, przeważnie zaś wpływają na to interesy, grupujące się około nowego upostaciowania kwestji Wschodniej. Dwa

inne antagonizmy, antagonizmy europejskie, jakby niebezpieczne magazyny prochowe, stanowią Alzacja-Lotaryngja i Bałkany. Pierwszy z nich jest najbardziej widoczny i alarmujący. Francja i Niemcy są zawsze gotowe do wojny z sobą. Przekonały się z własnej historii lat 1806 i 1870 o prawdziwości słów Napoleona, że śmiały i silny atak na samym początku decyduje o losach całej kampanji. Zresztą przeciwieństwa ich są wyraźne i koncentrują się w dążeniu do posiadania dokładnie oznaczonego pasa granicznego. W antagonizmie zaś rosyjsko-austriackim ścierają się z sobą ambicje, sięgające do terytoriów, które nie należą jeszcze ani do Rosji, ani do Austrii. Skutkiem tego może on być przysyłany do czasu, i wybuchy mogą być odraczane przez starania dyplomatyczne. Jeżeli tylko Francja albo Niemcy poczują się dość silnymi, aby wydrzeć przeciwnikowi nadzieję zawładnięcia spornym krajem, nie nie zdoła powstrzymać wojny. Niemalą wskazówką w tym względzie musi być terazniejszy rozkwit nacjonalizmu francuskiego. Tymczasowy pokój gwarantowany jest głównie, jeżeli nie wyłącznie, przez konieczność zabezpieczenia się od powikłań, jakie mogłoby spowodować pogwałcenie neutralności Belgji i trudność przejścia przez Luksemburg, nad czem dysputuje teraz prasa obu państw.

Austrja i Rosja przywykły do regulowania zachodzących pomiędzy niemi konfliktów, od wypadku do wypadku, za pośrednictwem instytucji koncertu europejskiego. Tak było w r. 1878, i to samo żądanie spełniała teraz konferencja ambasadorów w Londynie. Zachodzi jednak ta różnica, że gdy dzieło kongresu berlińskiego, które Disraeli zwał „pokojem zaszczytnym“, przetrwało lat trzydzieści, trwałość kreacji konferencji ambasadorów ma za sobą tylko nieznaczące szanse. Potrzeba było w tym celu odwagi i stanowczości, na którą się zdobyć nie umiano. Wielką bezwątpienia część winy za to należy przypisać

Angli, której przypadła rola kierownicza na konferencji. Jak niegdyś w Berlinie, tak i teraz w Londynie, starano się głównie utrzymać dawną równowagę mocarstwową. Jest to zasada słuszna i odpowiednia, gdy idzie o małe poprawienie stosunków, ale zasługuje na bezwarunkowe potępienie, gdy rozstrzygają się żywotne interesy ludów. P. Edward Grey, chociaż uczeń ze szkoły Gladstone'a, który przedstawia najczystszy etycznie typ w polityce, nie dorósł do wielkości mistrza. Skoro na miejsce nieodłącznej Turcji wystąpiły silne państwa słowiańskie, przez co wzmocnił się wpływ Rosji, przeto dla ocalenia równowagi, należy na korzyść Austrii utworzyć Albańję. Na mocy takiej refleksji powstała Albańja, chociaż niezmiernie trudno byłoby odpowiedzieć, gdzie właściwie jest naród albański. Bułgarja miała zabrać wszystkie owoce zwycięstwa; Serbja i Czarnogórze zostały pozbawione tego, co wywalczyły własnem poświęceniem. Wojna bratobójcza pomiędzy sprzymierzonymi rozpoczęła się na podstawie tej samej fikcji o równowadze. Troska o równowagę również popchnęła Rumuńję do interwencji. Wiadome są skutki, skutki nadto zupełnie nieprzewidziane, jakie bratobójcza wojna pociągnęła za sobą dla państw bałkańskich. Dążenie à tout prix do równowagi sprowadziło inną równowagę, pełną niebezpiecznych możliwości. Przedewszystkiem odbiło się na wykazaniu jaknajbardziej nieprzejednanego charakteru antagonizmu rosyjsko-austriackiego. Dowód tego mieliśmy w słynnej depeszy pojednawczej z Petersburga do królów bałkańskich i w natychmiastowej odpowiedzi, jaką dał w imieniu Austrii w parlamencie premier węgierski, Stefan Tisza. Fakty powyższe znaczą tyle, że antagonizm, o którym mowa, rozciąga się obecnie, po zniknięciu z widowni Turcji, na całą arenę bałkańską, i, jeśli zmieniają się wewnętrzne i dynastyczne stosunki

w Austrii, może w każdej chwili oddziaływać gwałtownie na cały systemat europejski.

Naddreadnoughty i kolosalne powiększenia armji lądowych sprawiają, że możliwość, a raczej pewność, nagłej ofensywy muszą fatalnie reagować na całą atmosferę polityki międzynarodowej. Akcja dyplomatyczna na konferencji londyńskiej, jak również ta, której Europa zawdzięcza trzy traktaty o pokój bałkański, nie przyniosła lekarstwa, lecz wzmocniła tylko objawy ciężkiej choroby, noszącej nazwę pokoju europejskiego.

ST. PYROWICZ.





## NA GŁODNYCH W GALICJI.

Henryk Sienkiewicz ogłosił następujące pismo :

„Od czasu do czasu dowiadujemy się z dzienników o ofiarach na rzecz dotkniętych klęską głodową włościan galicyjskich, a świeżo znakomity obywatel Feliks hr. Sobañski nadesłał na ten cel 30,000 rubli do Towarzystwa Rolniczego w Warszawie. Lecz pomoc poszczególnych osób, choćby tak hojna, nie będzie nigdy wystarczająca. Zapytuję przeto, czy nie należałoby zorganizować pomocy, w której szersze warstwy społeczne mogłyby wziąć udział, i nie wątpię, że odpowiedź na to pytanie byłaby jednomyślnem tego projektu potwierdzeniem. Podobną akcję przeprowadzono przed laty mniej więcej trzydziestu, gdy głód nawiedził Śląsk Pruski. Wszakże wówczas, w warunkach cięższych, niż dzisiejsze, władze nie hamowały bynajmniej ofiarności publicznej, i ludność Śląska uzyskała obfity zasiłek, który w znacznej mierze zapobiegł jej niedoli,

Dziś również powinien uformować się, za zgodą władz, komitet, który, uzyskawszy odpowiednią możność działania, zająłby się zorganizowaniem doraźnej pomocy dla włościan galicyjskich, bez różnicy narodowości. Ożywiony jedynie i wyłącznie filantropijnem uczuciem, komitet taki zestrzełiby z wielką łatwością w jedno ognisko luźne i rozbieżne akcje pomocnicze, a zarazem poruszyłby w szerokim zakresie ofiarności wszystkich warstw społecznych. Ludzkim i chrześcijańskim naszym obowiązkiem

jest zapobiec klęsce i uchronić, w miarę sił naszych, od głodu miliony nieszczęśliwych, blizkich nam istot. W imię też takich uczuć kreślę tych kilka słów—i pewien jestem, że zbudzą one odpowiednie echo w naszym kraju“.

*Henryk Sienkiewicz.*

W związku z odezwą powyższą redaktor „Sfinksa“ zamieścił w warszawskich pismach codziennych list następujący:

*Szanowny Panie Redaktorze!*

W myśl ogłoszonej wczoraj odezwy Henryka Sienkiewicza, redakcja „Sfinksa“ postanowiła w drobnym chociaż stopniu przyczynić się do powiększenia funduszu, którym rozporządzać będzie przyszły komitet, mający na celu zorganizowanie doraźnej pomocy dla włościan galicyjskich bez różnicy narodowości. W tym celu postanowiliśmy powiększyć nakład oddanego obecnie pod prasę październikowego zeszytu „Sfinksa“ i trzysta egzemplarzy tego zeszytu sprzedawać po normalnej cenie rublowej, składając całą kwotę, którą z tej sprzedaży osiągniemy, na cel, wskazany w odezwie wielkiego pisarza naszego.

Sto egzemplarzy podejmujemy się sprzedać sami w administracji pisma naszego przy ulicy Siennej Nr. 2-a; sto egzemplarzy wysłamy w tym samym celu do Krakowa i Lwowa; pozostałe sto złożymy na ręce przyszłego prezesa mającego się utworzyć komitetu.

Zeszyt październikowy „Sfinksa“, poświęcony w znacznej części księciu Józefowi, z powodu przypadającej 19-go października setnej rocznicy jego śmierci, ukaże się przed datą powyższą i stanowić będzie sam przez się pewnego rodzaju całość.

Adres telegraficzny HERSE - WARSZAWA



WARSZAWA MARSZAŁKOWSKA 150

**BOGUSŁAW HERSE**

POLECA UWADZE  
ZNACZNIE ROZSZERZONY

**SKŁAD DYWANÓW**

SPECYALNOŚĆ.

**KOBIERCE WSCHODNIE**  
IMPORT BEZPOŚREDNI

**SKŁAD FUTER**

Telefon 229-32.

Telefon 229-33.

DYWANY PERSKIE.  
KILIMY KAUKAZKIE.  
ZAKUP BEZPOŚREDNI.  
IMPORT WŁASNY.  
CENY NIZKIE

Świ

W

(I Z  
cy, I  
droż:  
VII I  
ty,  
kacl  
Wyd  
kow

Skła

i rb  
kop

rb.  
dola

rb.  
rb.

str.

tek

wy  
(Z

Świeżo wyszedł nowy tom utworów  
poetyckich

Władysława Bukowińskiego

p. t.

## „Na Przełomie“.

(I Z pieśni nowego życia, II Ossolin w nocy, III Święto wiosny, IV Kartki z podróży, V Z powrotem, VI Latem, VII Echa burzy, VIII Za kratą, IX Listy, X Przeznaczenie, XI Przy dźwiękach marsza Chopina, XII Przekłady).

Wydanie wytworne na papierze żeberkowym z okładką barwną St. Wyspiańskiego

rb. 1 kóp. 50.

Skład główny w Administracji „Sfinksa“  
(Sienna 2-A).

Świeżo ukończony został druk znakomitego cyklu powieści

ROMAIN ROLLANDA

p. t.

## „JAN KRZYSZTOF“

w przekładzie Jadwigi Sienkiewiczówny  
i Henryka Sienkiewicza.

Część I „Swit“, cz. II „Poranek“,  
cz. III „Młodzieniec“, cz. IV w 2 tomach  
„Bunt“.

Cena każdego tomu kóp. 80.

Ukazało się w nowym wydaniu jubileuszowym, z przedmową Ign. Chrzanowskiego i portretem Autora, znakomite dzieło

Ignacego Matuszewskiego

## „Słowacki i nowa sztuka“.

Cena za 2 tomy rb. 1 kóp. 60.

Skład główny w Administracji „Sfinksa“ (Sienna 2-A).

**Prenumerata „SFINKSA“** wynosi rb. 9 rocznie, rb. 4 kóp. 50 półrocznie i rb. 2 kóp. 25 kwartalnie w Warszawie, a rb. 10 rocznie, rb. 5 półrocznie i rb. 2 kóp. 50 kwartalnie z przesyłką pocztową w Królestwie i Cesarstwie.

**Prenumerata „SFINKSA“** zagranicą wynosi (z przesyłką rekomendowaną) rb. 12 rocznie, rb. 6 półrocznie i rb. 3 kwartalnie (koron 30, marek 26, franków 32 dolarów 7 rocznie; w odpowiednim stosunku — półrocznie i kwartalnie).

**Cena ogłoszeń w „SFINKSIE“:** cała strona przed tekstem i na III str. okładki rb. 60, na pierwszej stronie po tekście rb. 50, na ostatniej stronie przed okładką rb. 35, na innych stronach rb. 30. Pół i ćwierć strony w tym samym stosunku.

Na obwolucie i na IV str. okładki: cała str. rb. 75, pół str. rb. 40, ćwierć str. rb. 25.

Margines na II str. obok treści rb. 30, na innych stronach okładki rb. 20.

**Redakcja „Sfinksa“ przeniesiona została z ulicy Polnej  
na ulicę ŻÓRAWIĄ Nr. 18, telefon 110-99.**

Adres Administracji i ekspedycji „Sfinksa“: **Sienna 2-A** (łącznie z „Biblioteką Dzieł Wyborowych“). Telefon 114-30.

Redaktor lub jego zastępca przyjmuje Interesantów w sprawach literacko-wydawniczych we wtorki i czwartki od godziny 6-ej do 7-ej w biurze Redakcji (Żórawia Nr. 18).





PENSJONAT POLSKI I SANATORJUM  
P. WANDY BILIŃSKIEJ W WILLI WŁASNEJ  
**WILLA WANDA**  
W Heluanie pod Kairem.

Otwarty od 1 października do 1 czerwca. Miesiące jesienne od października  
najsukuteczniejsze dla kuracji nerek. Pokój z całkowitem utrzymaniem od rb. 4  
kop. 50 do rb. 6 dziennie.

Adres: Egipte, Helouan W. de Bilińska.

**HUMANISTA POLSKI**

M I E S I Ę C Z N I K

wydawany i redagowany przez Aleksandra Świętochowskiego,  
wychodzi (zamiast „Kultury Polskiej“) od 1 stycznia 1913 r.

Prenumerata roczna rb. 3, z przesyłką lub odnoszeniem do domu rb. 3 kop. 30.

Administracja „Humanisty Polskiego“ mieści się przy drukarni K. Kowalew-  
skiego. Piękna 15, tel. 18—88. Listy i przesyłki adresować należy do Redakcji:

Wilcza 32, tel. 115.35.

## OD REDAKCJI „SFINKSA“.

Nabywszy cały nakład dwóch cennych dzieł, a mianowicie:

1) **M. GUYAU:**

„Zarys moralności bez powinności i sankcji“

w przekładzie, dokonanym z oryginału francuskiego pod redakcją **Aleksandra Świętochowskiego**, a wydanym przez sekcję etyczną zamkniętego przez władzę Towarzystwa Kultury polskiej, (wydanie wykwinne, str. 264 dużego formatu), oraz

2) **JANA MILTONA:**

„RAJ UTRACONY“

z przedmową i w jedynym polskim przekładzie **Władysława Bartkiewicza** (pieśni 12, str. 424),

możemy oba te dzieła odstępować wszystkim prenumeratorom naszym po cenie **o połowę niższej**.

„Zarys moralności“ M. Guyau po kop. 75 za egzemplarz, zamiast ceny księgarskiej rb. 1 kop. 50.

„Raj utracony“ Milona po kop. 90 za egzemplarz, zamiast ceny księgarskiej rb. 1 kop. 80. Na przesyłkę pocztową każdej z tych książek dołączyć należy kop. 20.

Wszyscy prenumeratorzy „Sfinksa“, którzy nadeślą **całkowitą przedpłatę** na ten miesięcznik na rok 1914 bezpośrednio do Administracji naszej (Sienna 2-A, tel. 114-30 w Warszawie) **przed 1 stycznia r. b.**, mogą otrzymać **jedno z dzieł powyższych** (do wyboru), aż do wyczerpania nakładu, jako nasze **premjum bezpłatne**, ponosząc tylko zaznaczony wyżej koszt przesyłki pocztowej (20 kop. od egzemplarza).

ZAKŁADY GRAFICZNE

**B. WIERZBICKI i S-ka**

w Warszawie, ulica Chmielna Nr. 61.

46-73 tel. 92-30

polecają swą: cynkografię, drukarnię, chromolitografię, światłodrukarnię, rysownię, szylczikarnię i introligatornię.

*Kosztorysy na żądanie.*

Redaktor i Wydawca:  
**Władysław Bukowiński.**

Sekretarz Redakcji:  
**Wanda Stokowska.**